AWANGARDA PAŃSTWA NARODOWEGO

NR 3/4 Poznań, marzec — kwiecień 1934 r.

NARÓD W PAŃSTWIE.

Książka posła Ryszarda Piestrzyńskiego pod powyższym tytułem[1]), która ukazała się przed kilkunastoma dniami na półkach księgarskich, jest wydarzeniem politycznem naszych dni na tyle znamiennem, że zasługuje na pilną uwagę.

Wprawdzie zawiera ona w sobie niejeden rozdział, ogłaszany już przez autora poprzednio, tem nie mniej jednak cennem jest stwierdzenie, do którego przy tej okazji właśnie należy dojść, że publicystyka naszego ruchu nie szła nigdy na ślepo, że od szeregu lat przyświecają jej te same ideały i cele, od których nie odstępowała i nie odstąpi bez względu na zmienne i przemijające nastroje naszych dni. Cała omawiana książka bowiem jest jedną całością, mocno ze sobą związaną wewnętrznie.

Myśli, zawarte w książce R. Piestrzyńskiego nie były zresztą — i nie są — czemś zawieszonem w powietrzu i przeznaczonem do kontemplacji: wypływają one z tego samego podłoża, na którem opierała się i opiera działalność organizacyjna i polityczna naszego ruchu, wyrażająca się poprzednio w O. W. P., obecnie zaś zwłaszcza w Związku Młodych Narodowców.

Trzeba to podkreślić, że w zakresie podstaw ideowych omawiana książka jest bardzo ścisłym wyrazem myśli narodowej; doprawdy, chyba trudno byłoby wyszukać choć jeden ustęp w tej całości, co do którego możnaby mieć jakiekolwiek choćby uzasadnione wątpliwości, czy czasem nie znać na nim jakich naleciałości obcych idei narodowej. Autor myślał i pisał widocznie nie tylko z dużą starannością, ale i z głębokiem przekonaniem; a jest to jedną z najcenniejszych i najbardziej ujmujących — niestety rzadkich za to — cech literatury politycznej.

Zwracającą uwagę nowością jest jednak przedewszystkiem co innego: autor, oparłszy się ściśle na podstawach idei narodowej, dochodzi do zgoła innych wniosków, niźli te, których wyciąganie stało się częstym już niemal nie zwyczajem, lecz nałogiem. „Nacjonalizm niewolników — pisze autor — należy zmienić na nacjonalizm ludzi wolnych.“ Tu leży bodaj sedno zagadnienia i tu jest główna siła atrakcyjna książki R. Piestrzyńskiego: jest ona ujęciem wielu zagadnień bytu narodowego z narodowego punktu widzenia, ale na zgoła nowy, zrodzony już w niepodległem państwie i w naszym ruchu sposób.

Rzecz jasna: „Naród w państwie“ jest pracą publicystyczną, zawiera więc ona szkice, których celem nie było wyczerpanie zagadnień poruszanych; nie ujmuje to im, oczywiście, wartości, kto wie zaś, czy nie przysparza żywości i nie sprawia dużej łatwości, z jaką się książkę tę czyta. Niewątpliwie jednak zarówno autor, jak i publicystyka nasza wogóle, potraktuje dotychczas powiedziane jako jeden z pierwszych etapów krystalizowania się młodej myśli narodowej. Przyczem — co najsłuszniej zaznacza autor w przedmowie i co szczególnie pragnę podkreślić, jako przekonanie, obowiązujące w naszych szeregach — „...nietyle młodość, co nowa koncepcja polityczna, oraz oryginalna, na rodzimej tradycji oparta myśl twórcza, stanowią przedewszystkiem o wartości każdego ruchu ideowego.“ „A sądzimy, dodaje autor, że pokolenie Polski niepodległej nie jest pozbawione własnej koncepcji...“

#

Nie mam tu możności i zamiaru streszczenia wszystkich poglądów, tyczących się wielu zagadnień, które autor porusza w omawianej publikacji.... Jest jednak jedna dziedzina, która właściwie stanowi główny temat zainteresowań tej książki; są to sprawy ustroju państwa, ściślej sprawa ustroju Państwa Polskiego.

Autor zwraca uwagę na to, że zagadnieniem tem poczęto się zajmować w obozie narodowym już bezpośrednio po uchwaleniu konstytucji z 17 marca 1921 roku; była ona bowiem dziełem powstałem bez własnego namysłu, przepisana — jeśli można się tak wyrazić: dosłownie z recept i pryncypjów zgoła Polsce obcych. Budowa ustroju odzyskanego państwa stała się też — naturalnym biegiem rzeczy — pierwszem zagadnieniem dla naszego pokolenia, świadomego tego, że jemu głównie może przypaść w udziale obowiazek rozwiązania tego zadania. Nie trzeba też było czekać na to, by sprawa nowej konstytucji nabrała cech sensacji politycznej, by zasady, na których należałoby ustrój Polski oprzeć, były przez ruch nasz omawiane i by się nam poczęły one krystalizować. Niektóre roz-

[1]) Ryszard Piestrzyński. „Naród w Państwie“. Nakładem Wydawnictwa „Awangardy“, skład główny w „Domu Książki Polskiej“, 1934. str. VII+186. Książka zawiera następujące rozdziały: Przedmowa; Instynkty; Dynamika: Wobec przewrotów; Przesilenie ustrojowe: Zakres przesilenia; Absolutyzm a indywidualizm: Zagadnienie państwa absolutnego: Reakcja kierunku narodowego; Państwo i naród: Państwo narodowe albo komunizm; Podstawy państwa narodowego; Inteligencja a elita. Nowoczesne ruchy narodowe; Zagadnienie grupy rządzącej w Polsce; Upadek frazesu; Ku narodowemu państwu. Cena 5 zł. (Bibljoteki „Awangardy“ t. II).

W TYM NUMERZE:

Cena egzemplarza 50 gr

działy, tyczące się tych właśnie spraw, a pomieszczone obecnie w „Narodzie w Państwie“ — zostały przez autora napisane już w roku 1928. „Wśród młodych działaczy narodowych — pisze autor — istniała oddawna, może instynktowna, swiadomość konieczności pozytywnego zajęcia się tem zagadnieniem, by stanąć w Polsce na czele, a nie w ogonie prądu reformistycznego, dążącego do nadania ustrojowi państwa charakteru jaknajbardziej narodowego i jednolitego. Z kół młodej generacji narodowców były w tym kierunku podejmowane różne inicjatywy, przeciwstawiające się stanowisku bierności i wyczekiwania, co chyba było dowodem nienajgorszego wyczucia politycznego“.

Reformę ustroju naszego państwa należy traktować na szerokiej podstawie: „musimy pamiętać, że zagadnienie nie ogranicza się do zmiany kilku artykułów konstytucyjnych. Sięga ono znacznie dalej i głębiej. Jest wyrazem nowych dążeń i prądów, nowego kształtowania się stosunków gospodarczych i społecznych.“

W taki też, na szerokich podstawach oparty sposób, zastanawia się autor nad całem zagadnieniem narodowego ustroju naszego państwa. Nie wchodząc tutaj w wiele z tych spraw, zwróćmy uwagę na dążenie autora do wyszukania dla narodowej budowy państwa naszego tych zasadniczych pierwiastków, na których budowa ta mogłaby się oprzeć, a które byłyby narodowe, t. j. polskie i niezależne. Wysuwają się tu przedewszystkiem trzy czynniki, odpowiadające stawianym wymaganiom: warstwa rolnicza, robotnicza i armja. Następnym współczynnikiem budowy ustroju państwa może i powinna się stać warstwa t. zw. inteligencji, która musi jednak przejść przez proces „unarodowienia“, tj. przedewszystkiem odżydzenia, szczęśliwie i skutecznie rozpoczęty w pokoleniach Polski niepodległej.

Cała książka R. Piestrzyńskiego przepojona jest świadomością konieczności istnienia w Polsce takiego ustroju, któryby pokrótce można określić hasłem: silny naród w silnem państwie. Świadomość ta zresztą — dodajmy — jest też i zasadniczą podstawą rozumienia spraw ustrojowych przez nasz ruch. Stąd płynie ustosunkowanie się autora — i naszego ruchu — do założeń państwa liberalno-demokratycznego, do parlamentaryzmu, do szeregu zagadnień ustrojowych naszego państwa, w szczególności takich, jak tzw. mniejszości narodowe słowiańskie, żydostwo itp. „Naród w Państwie“ rozpatruje te sprawy nie tylko z — powiedzmy — formalnego punktu widzenia, ale rozstrzyga też zasady ideowe, których taki czy inny ustrój bywa wypływem. Stawia też w tej dziedzinie swoje postulaty i twierdzenia, w myśl zasady, wypowiedzianej przez autora, że „zawodną staje się polityka, która wymierzona jest wyłącznie p r z e c i w k o m u ś, w polityce rzeczą główną i zasadniczą jest walka o c o ś“.

Sprawa ustroju naszego państwa stała się szczególnie aktualną w ostatnich czasach. Rzecz jasna, że autor zwraca uwagę swą i na projekt nowego ustroju. Oddajmyż głos jemu samemu: „Faktem nie bez znaczenia — pisze — w chwili obecnej jest przeprowadzanie nowej konstytucji. Polska ma wejść w nowy ustrój polityczny, oparty częściowo na innych podstawach niż w konstytucji marcowej z r. 1921. Projekt nowej konstytucji nie jest wyrazem jednolitego światopoglądu. Łączy on autorytatywne rządy z zasadami liberalnemi, oligarchję z demokracją, parlamentaryzm z absolutną pod niejednym względem władzą prezydenta, republikanizm z pewnemi założeniami monarchistycznemi itd. Pod tym względem możnaby nazwać tezy, uchwalone w Sejmie, kompromisem między starym a nowym światem, z tem wszakże, że stary świat pozostawiono raczej w zewnętrznych formach nowego ustroju. Nie można wielu z tych koncepcyj odmówić cech współczesności i tego, że są do pewnego stopnia w duchu czasu, co może gwarantować im trwałość. W projekcie nowej ustawy zasadniczej możnaby odnaleść rzeczy, które głoszono w ruchach narodowych. Nowa koncepcja Senatu — mimo jej jednostronnego ujęcia — mogłaby się stać w razie odsunięcia od wpływu na skład izby wyższej żywiołów odśrodkowych źródłem unarodowienia ustroju. Jak wiadomo, Żydzi okazali z tego właśnie powodu duże zaniepokojenie... — Projekt konstytucji nie jest wszakże wykładnikiem pełnej ideologji narodowej. Czyni z państwa „własność wszystkich jego obywateli“, a nie wyraźnie narodu polskiego. W tym właśnie punkcie projekt nie podąża za współczesnemi prądami ideowemi oraz politycznemi i nie jest wyrazem najnowszych potrzeb i dążeń narodu. Nowemu ustrojowi grozić również może wypaczenie w razie zahamowania „krążenia elity“, drogą powstrzymywania dopływu elementu młodego do pracy państwowej. Koncepcja projektu opiera się na uznaniu zasługi i wysiłku obywateli jako moralnej podstawy elity. Chodzi tylko o to, czy konstytucja służyć będzie jedynie do wynagrodzenia zasłużonych, którzy mieliby następnie spoczywać na laurach, czy też wydobywać będzie ze społeczeństwa nowe zasługi i nowe wysiłki, bo na tem przecież powinno przedewszystkiem zależeć. — Z tego, co poprzednio pisaliśmy na ten temat, wynika wszakże, że projekt nie oddala nas, ale raczej zbliża do państwa narodowego. W każdym razie nowa konstytucja nie tylko nie może zagrodzić drogi realizacji dążeń narodowych, ale kto wie, czy nie otworzy przed niemi nowych możliwości.“

#

Na zakończenie tych uwag wydaje mi się najwłaściwszem przytoczyć te słowa, któremi kończy swą książkę R. Piestrzyński — najlepiej bowiem wyrażą one nastroje naszego ruchu: „Nad kształtowaniem życia polskiego trzeba samemu pracować, tkwiąc w niem silnie, narzucając mu swoją inicjatywę. Nowe pokolenie dobrze to wyczuwa. Im bardziej wchodzić ono będzie w życie, tem lepiej zrozumie, że celów swoich nie osiągnie utyskiwaniem i biadaniem nad tem, co się w Polsce dzieje, biernem oczekiwaniem, że coś się zmieni, nieustannem gorszeniem się wypadkami, obrażaniem się na wszystkich dokoła, lub też dostojnem trwaniem na uboczu, w czem byłoby szczególnie młodym nie do twarzy. W młodych umysłach mogą istnieć różne rozbieżności w ocenie sytuacji, ale wspólne im będzie zawsze poczucie konieczności realizowania swoich postulatów przez twórczą i pozytywną postawę w życiu we wszystkich jego przejawach i formach współczesnych“.

JAN ZDZITOWIECKI.

Celem naszym

PAŃSTWO NARODU POLSKIEGO

Rewolucja legalna.

Czy słuszność jakiejś polityki mierzyć miarą jej popularności? Byłaby to zła metoda. Największe, najbardziej głębokie rzeczy były prawie zawsze z początku niepopularne. Bo przecież występowały przeciwko rozpowszechnionym już szeroko sugestjom i mniemaniom, przeciwko umocnionym wyobrażeniom, atakowały przyzwyczajenia myślowe, ryły nowe drogi w zwojach mózgów, a to zawsze wyprowadza z równowagi, a nawet tu i tam boli. Nigdy popularność nie może być miarą słuszności tego, do czego się dąży. Co nie oznacza, żeby ta popularność później nie przychodziła. Popularność jest rzeczą zmienną, ale jeżeli można mówić o jej wierności, to chyba w tem znaczeniu, że jest ona jak kobieta, tem wierniejszą, im trudniej było ją zdobyć.

#

Balibyśmy się prawie polityki, która odrazu, z miejsca, byłaby ogromnie łatwa, nie napotykałaby oporu, nie byłaby zwalczana, nie prowadziła nawet do kampanji skierowanej przeciwko osobie. Takie szczęście byłoby podejrzane. Czy polityka licząca się w pierwszym rzędzie z popularnością, z tem, żeby odrazu znalazła przyzwolenie i przystosowująca się do nastrojów panujących, nie zawierałaby przypadkiem pierwiastków zachowawczych w złem tego słowa znaczeniu, nierewolucjonizujących ale utrwalających pewien stan rzeczy, który się uważa za szkodliwy?

#

Od kilku lat słyszy się i czyta często w Polsce słowo „rewolucja". Porozumiejmy się co do terminu. Używany on bowiem jest w najrozmaitszem znaczeniu. Hitlerowcy naprzykład nazywają swój przewrót „rewolucją narodową", a bardzo wielu ludzi odmawia im prawa do słowa „rewolucja". Rewolucja hitlerowska dokonała się bowiem bezkrwawo, najzupełniej legalnie, bez walki z organami władzy państwowej (walki i starcia krwawe były tylko z komunistami i organizacjami socjalistycznemi, rozłożone pozatem na szeregi małych zajść w ciągu lat kilku), na podstawie układu z prezydentem Rzeszy i najwyższym dowódcą armji, marszałkiem Hindenburgiem, za pośrednictwem dzisiejszego wicekanclerza Papena. Charakteryzuje ją brak buntu przeciwko władzy państwowej, cechuje natomiast usankcjonowanie dążenia i zorganizowanej siły narodu, wyrażonej w partji hitlerowskiej, przez czynnik władzy państwowej, po okresie dłuższych coprawda wahań i walk legalnych oraz prześladowań. Była raz tylko próba innego załatwienia sprawy, w roku 1923, (pucz Hitlera w Monachjum), która się załamała. Hitler wówczas zmienił taktykę, łamiąc bezwzględnie wszelkie opory gorętszych i niesfornych żywiołów partji, nie dbając o niepopularność takiej taktyki. Wewnętrzne opory i trudności z powodu tego, utrzymanego do końca z żelazną wytrwałością kursu, były wcale liczne i nawet chwilami groźne dla partji, o czem mało kto wie.

#

Pomimo to hitlerowcy nazywają swoje dojście do władzy „rewolucją". I słusznie, jeżeli mają na myśli dokonany w ten sposób przewrót stosunków w państwie, rozpoczęcie ogromnej i głęboko sięgającej zmiany istniejącego stanu rzeczy. Nie mieliby jednak słuszności, gdyby nazywali ten przewrót „rewolucją" w dawnem tego słowa znaczeniu, tak jak rewolucję rozumieją zawodowi rewolucjoniści, razem z akcesorjami bomb i barykad, podziemnej pracy antypaństwowej, tak, jak ją rozumieją komuniści, tak jak ją rozumiał u nas jeszcze centrolew i jak się ją jeszcze czasem u nas dotychczas rozumie, raczej powierzchownie i na wzór dawno przebrzmiałych czasów. Słowo rewolucja w tem znaczeniu pachnie bardzo wspomnieniami dawnych liberalnych buntów.

Rzeczą inną natomiast jest zupełny przewrót i zmiana istniejącego stanu rzeczy, uważanego za szkodliwy, dokonany z myślą i uwagą na całość państwa, środkami, które prowadzą do celu. Można i to nazwać rewolucją, ale trzeba sobie jasno i wyraźnie uświadomić, co się pod tem słowem rozumie, co jest istotnym i najgłębszym celem. Całe bez wyjątku narodowe pokolenie Polski niepodległej godzi się z tem bez żadnej różnicy zdań, że celem jego jest synteza polskiego pierwiastka narodowego z państwowością polską, jest usunięcie nieszczęśliwego przeciwstawienia naród i państwo, jest zapewnienie w określonej przyszłości rządów państwem narodowemu pokoleniu Polski niepodległej, chociażby tylko dlatego, że jest ono jedyne w Polsce, które do tego będzie zdolne.

Ale żeby to mogło nastąpić, pokolenie to musi być silne i zwarte, nie może się rozszczepiać i rozlatywać, nie może przeciwko sobie we własnem łonie prowadzić walk, intryg, nieszczerości, inaczej bowiem będzie miazgą bez znaczenia i siły. „Rewolucja" w znaczeniu takiem, jak my ją rozumiemy dokonać się może tylko olbrzymią siłą ciążenia i znaczenia zwartej i zorganizowanej masy narodowej. Zwarcie zaś nastąpi tylko wtedy, gdy rozwinie się wielką pracę wewnętrzną nad pogłębieniem świadomości tego, do czego się dąży, nad opracowaniem i przemyśleniem dokładnem zagadnień i taktyki, nad znalezieniem męskiej, jasnej i szczerej postawy wobec rzeczywistości, nad oryginalnością i samodzielnością myśli i postępowania. Przyznajmy, że dużo jest tu jeszcze do zrobienia.

#

W Polsce istnieje nieszczęśliwa dążność do naśladowania cudzych wzorów, a co jest jeszcze gorsze, do naśladowania wzorów, których się w gruncie rzeczy nie zna, niedokładnie rozumie i nie wie, jak one naprawdę wyglądają. Rozumiemy, że istnieć może wpływ pewnych rzeczy, że można się dużo nauczyć przyglądając się temu, co się dzieje gdzieindziej, jednak zewnętrzne naśladownictwo jest nie nauką, ale małpiarstwem. Stosowanie recept zagranicznych, zaczerpniętych z zewnątrz bez należytego ich nawet przetrawienia, jest zawsze klęską. Tak ma się dzisiaj rzecz ze słowem „rewolucja". Jest prawdą, że przewroty nastąpiły w licznych krajach, ale w każdym kraju nastąpiły one inaczej, były wynikiem rodzimych stosunków i dążeń. Była rewolucja faszystowska we Włoszech skierowana przeciw anarchji socjalistyczno-komunistycznej i z reakcji na nią się wywodząca, którą ostatecznie usankcjonował król. Była „rewolucja" legalna w Niemczech, którą usankcjonował wódz siły zbrojnej marszałek Hindenburg. W tem znaczeniu rewolucja hitlerowska zaczęła się dopiero po objęciu władzy. Przedtem rozwój ruchu hitlerowskiego długo osłaniała i protegowała Reichswehra. Hitler przecież zaczął od tego, że z ramienia Reichswehry uświadamiał demobilizowanych rekrutów o niebezpieczeństwie komunistycznem. Pozatem nie zwrócono dotychczas nigdzie uwagi na to, że przecież rewolucja w Niemczech dokonała się z dwu stron: marszałek Hindenburg i jego otoczenie, decydując się na oddanie władzy Hitlerowi, dokonali również rewolucji we własnym sposobie myślenia. Rewolucja legalna bywa zwykle rewolucją dokonaną z dwu stron, bywa spotkaniem się dwuch przewrotów. Ale mniejsza o Niemcy. Myśląc o tem, co ma być w Polsce należy bezwarunkowo wyjść z oceny sytuacji w Polsce. U nas odbyła się już jedna rewolucja i to nawet rewolucja w całem tego słowa znaczeniu. Można się na sposób jej przeprowadzenia rozmaicie zapatrywać, można być wogóle zdania, że istniały inne, lepsze drogi rozwoju, ale dzisiaj nikt jej nie wymaże z rzeczywistości. Nadomiar zaś nie była to rewolucja socjalna, liberalna, to znaczy rewolucja niewspółczesna, taka jak rewolucja hiszpańska przeciwko Primo de Riwerze, ale rewolucja antyparlamentarna, która w wyniku swoich działań zgniotła w dużej części siłą faktów, choć może nieraz nieprogramowo, pierwiastki liberalne, niszcząc partje socjalistyczne, wzmacniając władzę wykonawczą, ustalając rządy autorytatywne, wprowadzając pierwiastki organizacji wojskowej do rządów, słowem spełniając wiele rzeczy, które były gdzieindziej również celem, i to bardzo zasadniczym, rewolucyj narodowych. Mimo to nie była ona rewolucją narodową, albowiem obciążały ją liczne nawyki myślowe i treściowe ery liberalnej. Powiodły ją one w niejednych sprawach na drogi niezgodne z uczuciami i dążeniami narodu. Sprawa żydowska jest tu typowym przykładem. Rewolucja w Polsce posiada wiele wewnętrznych sprzeczności i to właśnie jest jej słabością, zarówno na wewnątrz, jak i w stosunku do tego, czego powinna była dokonać. Antyliberalna rewolucja w Polsce, przeciwstawiając się pierwiastkowi narodowemu, stanęła poprostu w pół drogi. Jednak poszła ona w wielu kierunkach w myśl

tych dążeń, które reprezentują kierunki narodowe, które i u nas, co tu długo gadać, wyznają nacjonaliści antyliberalni. Narzucałoby się pytanie czy w tych warunkach zamiast rewolucję obalać, nie należałoby jej kończyć. Rewolucja bowiem, rozpoczynająca od początku, byłaby już dzisiaj nie rewolucją tout court, ale w wielu dziedzinach kontrrewolucją ze wszystkiemi jej niebezpieczeństwami, a więc z obudzeniem tych wszystkich sił, które dzisiaj są zdławione i bezsilne, ale które, nie łudźmy się, jeszcze nie umarły. Usuwając wszystko, usunęłoby się również nietylko to, co złe, ale i to co dobre. Nie można sobie w dziecinny sposób wyobrażać, że dałoby się tych skutków uniknąć. Pozatem zaś: rewolucja, kontrrewolucja, a potem o ile możliwości znowu jakaś próba, która nastąpiłaby napewno, to nie Polska, lecz Meksyk. Jest złudzeniem, że obalając jeden silny rząd, można na jego miejsce postawić drugi silny rząd. Silny rząd można postawić tylko na miejsce słabego rządu. Na miejsce silnego rządu może przyjść tylko rząd słaby, chociażby dlatego, że obalając silny rząd obala się również mimo wszystko zasadę, nie mówiąc już o tem, że powtarzanie wstrząsów musi wywołać zanarchizowanie umysłów. Pozatem obalenie silnego rządu wymaga zużycia tak wielkiego zapasu sił, że ktobądź zwycięży, będzie osłabiony. Rewolucję w tem słowa znaczeniu, jak się je zwykle rozumie, to znaczy nielegalnej walki wewnętrznej, zniesie kraj raz na sto lat, ale nie częściej. Zwłaszcza zaś kraj w położeniu Polski. Nie zapominajmy — mimo paktów o nieagresji — że mamy z jednej strony komunistyczną Rosję, a z drugiej Niemcy, które za dwa, trzy lata, będą blokiem zupełnie już skonsolidowanym, uzbrojonym i gotowym do działania. Kto w tych warunkach weźmie na siebie odpowiedzialność za fermenty rewolucyjne w Polsce?

Rewolucja w znaczeniu dosłownem, to znaczy przewrót nielegalny, mógłby się w Polsce dokonać, gdybyśmy mieli rządy liberalne i wogóle słabe. Zamach majowy, nawet jako pierwsza rewolucja nie byłby nigdy możliwy, gdyby w Polsce nie były istniały rządy parlamentarne, chwiejne, słabe, zmieniające się co kilka miesięcy i pozbawione autorytetu. Widzieliśmy zresztą, jak ówczesny rząd zachował się wobec zamachu, jak ustąpił z pola. Dzisiaj rzeczywistość jest inna. Nie mamy systemu liberalnego, nie mamy rządów chwiejnych, rządzi grupa, która wywodzi się z wojska. Inna zupełnie jest jej psychologja, inny zupełnie sposób reagowania. Widzieliśmy go zresztą w epoce mobilizowania centrolewu. Starcie nielegalne z taką grupą byłoby długotrwałe, trudne i wyczerpujące, byłoby prawdziwą wojną domową, która mogłaby rozbić państwo. W tych warunkach podtrzymywanie z jednej i drugiej strony i doprowadzenie do takiego stanu rzeczy może leżeć tylko w interesie państw ościennych. Trzeba to jasno powiedzieć.

#

Rozwiedliśmy się szerzej na temat rewolucji, ponieważ jest rzeczą konieczną jasne uświadomienie sobie tego słowa i jego rzeczywistej treści, a nie upajanie się jego większą lub mniejszą popularnością i łatwemi początkowemi sukcesami agitacyjnemi. Wzory cudze, na domiar źle zrozumiane, przenoszone na grunt polski, będący dzisiaj przedewszystkiem w zupełnie innem stadjum rozwoju, niż były np. Włochy w chwili marszu na Rzym, albo Niemcy w chwili obejmowania władzy przez Hitlera, podziałałyby u nas rozkładowo. My możemy brać pod uwagę tylko rzeczywistość polską i iść naprzód w sposób polski, własny. Pozatem można zrozumieć, że jest we Włoszech jeden Mussolini, a w Niemczech jeden Hitler. W Polsce natomiast istnieje niebezpieczeństwo błąkania się kilku czy nawet kilkunastu hitlerząt, czy mussoliniątek.

#

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że dzisiejszego stanu rzeczy w Polsce nie możemy nazwać zadowalającym. Dla przetworzenia stosunków, tak, jak my je sobie wyobrażamy, trzeba jeszcze dużo pracy, zarówno myśli, jak i zorganizowanej masy narodu. To jest dzisiaj pierwszem zadaniem. Kto to widzi i kto sobie z tego zdaje sprawę, ten będzie pracę taką popierał, odkładając na bok wszystkie osobiste ambicje, urazy, rachuby i kwestje prestiżu. O naszem ustosunkowaniu się do istniejących sił w Polsce będzie decydować to, które z nich będą uważały, że realizacja naszych dążeń jest i będzie dla Polski dobra, i, które z nich staną na tem stanowisku, że konsolidacja narodowego pokolenia Polski niepodległej, opartego o niesłychane i niezastąpione wartości idei narodowej, razem z jego aspiracjami do przyszłych rządów w państwie, jest jedynem logicznem i pożądanem wyjściem ze sytuacji obecnej. Będzie to w porównaniu do stanu obecnego niewątpliwie rewolucją, jednakże ta rewolucja musi się dokonać legalnie. Na anarchję powtarzających się rewolucyj nielegalnych, Polska jako naród i jako państwo pozwolić sobie nie może. Jest dowodem niezmiernie niskiej oceny siły idei narodowej i jej działania jako „siły fatalnej", używając słów Słowackiego, gdy się uważa, że nie jest ona zdolna do zwycięstwa, inaczej, niż drogą rewolucyjnego buntu. Pierwiastek narodowy i idea narodowa jest dość silna, dość potężna, dość sugestywna (o ile oczywiście jest dość głęboko przemyślana i odczuwana), ażebyśmy mogli mieć do siebie to zaufanie, iż bez nowego wstrząsu legalności zwyciężyć ona potrafi. Poprzeć ją muszą prędzej lub później te żywioły w państwie, które po polsku czują i którym o Polskę chodzi. Poprzeć ją musi przedewszystkiem pierwiastek wojskowy w Polsce, ponieważ walczymy nie o Polskę parlamentarną, o Polskę targów, handlów i handelków, ale właśnie o Polskę rycerską.

#

Pisząc te ostatnie zdania zdajemy sobie sprawę z tego, że wielu ludzi w Polsce powie: to jest niemożliwe. Argumentów będą mogli przytoczyć dużo, wiele faktów z przeszłości, a niestety także z teraźniejszości. Te fakty istnieją i zgoła nie należy ich tłumaczyć, i pomijać milczeniem. Nie o kompromisy chodzi! Ale nie możemy również stanąć na tem stanowisku, że istnieje zgóry jakaś niemożliwość. Niemożliwości w zasadzie niema. Możliwe są często rzeczy o których dzień przedtem myślało się, że są utopją. Czasem są niemożliwe dlatego, że ich się nigdy nie próbowało. Utopja nieraz już stawała się rzeczywistością.

#

Rzecz jasna i znowu do tego wracamy i powtarzać to będziemy zawsze, że jeżeli pokolenie Polski niepodległej ma spełnić swoje zadanie (mówiąc o „pokoleniu" nie chcielibyśmy za każdym razem wyciągać metryk) nie może ono być miazgą. Musi zrobić porządek przedewszystkiem u siebie. Nie będziemy wchodzili na tem miejscu w przyczyny, czemu przechodzi ono dzisiaj pewne przesilenie. Odkrywanie ich byłoby rzeczą bardzo bolesną. Byłoby jednak złudzeniem przypuszczenie, że będą one działały trwale. I byłoby przedewszystkiem złudzeniem przypuszczenie, że procesy, które się rozpoczęły, są dziełem takiej lub innej jednostki, którą się nota bene upatruje kolejno w rozmaitych osobach. Można sobie chcieć ułatwić stosunek do tych procesów takiem osobistem postawieniem kwestji. To jednak niczego nie rozwiąże.

#

Przełom, który dokonał się i dokonuje w świecie jest nietylko przełomem gospodarczym, nietylko przełomem ustrojowym, ale również przełomem psychicznym. Myślenie współczesne jest być może prymitywniejsze od wyszlifowanych umysłowości XIX wieku, które w okresie spokoju miały czas na szczegóły i szczególiki, na zbieranie olbrzymiego materjału wiedzy, na rozszczepianie się w zawiłych i przesubtelizowanych labiryntach tych szczegółów, na rafinowanie się aż do ostatecznych granic. Dokonywało się to jednak kosztem tęgości i siły, a przedewszystkiem jakże często kosztem bezpośredniości myślenia i reagowania. Zaginęła, przygłuszona ciężarem wiedzy formalnej i materjalnej, mądrość prosta i szczera. Ludzie byli bardzo inteligentni i wykształceni, ale oddalali się od podstaw. Fakt i myśl, zanim doszły do centrów, wywołujących reakcję istotną, przechodziły przez tyle filtrów, które ją osłabiały i nadwątlały, że reakcja była słaba, względna albo żadna. Jesteśmy dzisiaj dużo brutalniejsi, mniej może piękni i błyszczący, ale za to szczersi i prawdziwsi od ludzi czasów ubiegłych. Nazywamy więcej rzeczy po imieniu, nie przeraża nas też tak bardzo oblicze człowieka bez maski. Wiemy, że człowiek doskonały, to złudzenie, chociaż nie odrzucamy zgoła ideału. Takie stanowisko daje dużo mocy, ale też na niektórych terenach polityki osłabia. Nie liczymy się przedewszystkiem często z mistrzowstwem intrygi politycznej, z umiejętnością subtelnej gry na parkiecie politycznym, ze sposobami, które wywodzą się w gruncie rzeczy z atmosfery dworów i parlamentów. Pokolenie współczesne wyrosłe w czasach wstrząśnień i bru-

talnych zdarzeń, w atmosferze toczących się wszędzie otwartych zbrojnych walk, jest samo znacznie prostsze, może gwałtowniejsze, bardziej podobne psychice żołnierza, niż dyplomaty. Prędzej też wyciąga konsekwencje czynne z tego, co myśli, robi to śmielej i otwarciej, mniej obraca się w sferze spekulacji umysłowej, choć może podziwiać jej genjalność i nawet z niej czerpać.

#

Logiczny układ stosunków w Polsce przyjść musi, bo to jest jej koniecznością życiową. O to walczyć trzeba, ta walka jest moralnym obowiązkiem każdego Polaka. Oczywiście nietylko jednej strony. Nikt nie może powiedzieć, że tu jest wszystko dobrze, a tam wszystko źle. Nie można także czekać. Kiedyś rozpocząć trzeba. Gdy wszyscy będą czekali, aż druga strona rozpocznie, nie posuniemy się nigdy naprzód. Jakie będą wyniki, nikt naprzód powiedzieć nie może. Bardziej odważny jest ten, co zaczyna, niż ten, co czeka. A **Polska nie ma dużo czasu na czekanie**. Procesy historyczne zawsze potrzebują czasu, ale rozpocząć się muszą. Zawarliśmy pakty o nieagresji na lat dziesięć. To jest nieduży okres czasu, a nikt trzeźwy nie może budować na tem, że pakt o nieagresję jest murem, za którym można spokojnie spać.

JERZY DROBNIK.

Poznań, 4. IV. 1934.

TAMY.

Nadprodukcja inteligencji w Polsce jest faktem niewątpliwym. Jest nim niezależnie od porównawczego spojrzenia na procent ludności posiadającej ukończone wyższe studja w Polsce i w innych krajach. Powszechne ubóstwo panujące w Polsce musi bowiem powodować, że Polska procentowo może zatrudniać mniej inteligencji od któregokolwiek z narodów zachodnich. Nie pomoże też w danym momencie — wskazanie na możliwości pracy polskiej inteligencji w przemyśle. Te możliwości bowiem otworzą się dopiero w przyszłości. W tej chwili ludzi z ukończonemi studjami wyższemi, ludzi dyplomowanych jest niewątpliwie niewspółmiernie za dużo w porównaniu z popytem na ich pracę.

Jedna z przyczyn tego faktu leży oczywiście w wykrzywionym polskim rozwoju społeczno-gospodarczym. Tak bowiem, jak w przeszłości rozwój Polski poszedł jednostronnie w kierunku czynnika szlacheckiego, tak współcześnie jednostronność ta wyraziła się w nadmiernym pędzie ku zawodom urzędniczym, względnie zawodom tzw. wolnym. W tym pędzie biorą udział tak dobrze jednostki pochodzące z zdeklasowanych kół dawnej szlachty, jak też i jednostki pochodzenia chłopskiego. Na tym odcinku sprawdza się zatem hasło: „z polską szlachtą polski lud".

Jednostronny ten rozwój łączy się z wielkiem zagadnieniem miast i mieszczaństwa w dawnej Polsce — i w Polsce dzisiejszej. Nie będziemy jednak na tem miejscu omawiać tej kwestji. Zamierzeniem naszem jest skupienie uwagi na fakcie nadprodukcji tej inteligencji, która zdecydowanie garnie się do zawodów urzędniczych, czy t. zw. wolnych. Jak zapobiec tej nadprodukcji? Odpowiedź na to pytanie może zresztą stać się pożyteczna i przy rozwiązywaniu zagadnienia poprzedniego. Położenie tamy na tym odcinku może bowiem skierować pewną ilość fal w tym kierunku, który dla rozwoju społeczno - gospodarczego w Polsce uznać należy za szczególnie pożądany.

Z zagadnieniem naszem łączy się najściślej kwestja ustroju szkolnictwa średniego i szkolnictwa wyższego. Trzeba powiedzieć, że ustrój naszego szkolnictwa nie stawiał należytych tam, nie umożliwiał eliminacji tych żywiołów, które nie nadawały się do studjów wyższych.

Powiedzieć to trzeba najpierw o szkole średniej. Nie było żadnej faktycznej tamy, któraby powstrzymywała napór prącej fali. Miała tę tamę tworzyć matura, w praktyce tego jednak nie czyniła. Być może, że ta rola jej działałaby lepiej, gdyby matura tworzyła nietyle koronę studjów średnich, ile raczej warunkowała wstęp do studjów wyższych. Z chwilą, gdy zdanie matury było równoznacznem z ukończeniem gimnazjum, trudno było stworzyć z niej sito przepuszczające tylko wybranych. Wychowawcy młodzieży z trudnością mogli wypełniać takie zadanie. Toteż zwyczajnie kończyło się — w najgorszym razie po krótszej lub dłuższej reprobacie — na wręczeniu dyplomu maturalnego.

Z ławy gimnazjalnej droga prowadziła na uniwersytet lub do innej szkoły wyższej. Tutaj sytuacja zmieniła się znacznie w porównaniu z latami przedwojennemi. System studjów wprowadzony na uniwersytetach polskich polega na egzaminach bądź rocznych, bądź też przedmiotowych. Egzamina roczne obowiązują na wydziałach prawniczych, oraz lekarskich, egzamina przedmiotowe na wydziałach humanistycznych i matematyczno - przyrodniczych. System ten jest odmienny od dawnego systemu obowiązującego w b. Galicji. Tam, na wydziałach prawniczych i lekarskich, obowiązywał system egzaminów grupowych, które tylko częściowo łączyły się z rocznym porządkiem studjów. I tak tylko pierwszy egzamin grupowy warunkował przejście na określony semestr studjów, egzaminy zaś dalsze można było składać po uzyskaniu absolutorjum. Na wydziałach zaś humanistycznym i matematyczno-przyrodniczym (dawne wydziały filozoficzne) jako egzamin zawodowy istniał właściwie tylko jeden egzamin końcowy, egzamin nauczycielski.

System ten miał swe korzyści. Student mógł pracować w sposób pogłębiony. Ta zwłaszcza część młodzieży, która poświęcała się pracy naukowej nie była gnana terminami egzaminów, rwącemi pracę ściśle naukową, i zmuszającemi do przygotowania podręcznikowo - encyklopedycznego. Miał ten system i swoje niekorzyści. Młodzież — poza terminem pierwszego egzaminu na wydziałach prawnych i lekarskich — niekrępowana terminami egzaminów bardzo często wytwarzała typ „żelaznego medyka", czy „żelaznego prawnika". To żelazne ujęcie zwlekania znajdowało zresztą bogate zastosowanie i w innych typach studjów.

Była jednak w ten sposób postawiona pewna tama. Kto studja chciał skończyć, ten mógł to uczynić, zdobywając się na potrzebny wysiłek woli. Kogo na ten wysiłek nie było stać, ten odpadał. Zarzucano temu systemowi, że wytwarzał kategorje ludzi wykolejonych. Dziś ich także sporo, tem jednak się różnią od swych poprzedników, że noszą dyplom w kieszeni.

Nowy system tamę tę zniósł, a nie postawiwszy żadnej innej wyraźnej, spowodował przedarcie się fali poprzez wszystkie egzaminy i egzaminki. Nie śmiem mówić o systemie studjów na wydziale lekarskim, na wydziałach jednak prawnych system egzaminów rocznych nie prowadzi do należytego przerzedzenia tej fali. Student i o bardzo słabej inteligencji przedostanie się przez to sito, gdyż opanuje pamięciowo to stereotypowe minimum wymagane przy egzaminach. Niema innego kryterjum dla oceny pracy studenta, gdyż przepełnione sale uniemożliwiają wprost bardziej bezpośredni kontakt profesora z uczniem. Przygotowanie zaś jest encyklopedyczne. Cierpi na tem praca tych jednostek, które chciałyby zająć się pracą naukową.

Równie źle wygląda ta sprawa na wydziałach matematyczno - przyrodniczych i humanistycznych. Tam dawny egzamin nauczycielski podzielony został na kilka egzaminów. Łatwo opanować encyklopedycznie zakres wiedzy wymagany przy tych egzaminach, praca zaś pisemna zeszła na dalszy plan w porównaniu z tem miejscem, które zajmowała w dawnym systemie studjów.

Czynniki kierujące oświatą w Polsce zdawały sobie sprawę, że ten stan rzeczy jest zły. Zdawał sobie z tego sprawę Stan. Grabski, gdy za czasów swego ministerstwa projektował wydzielenie z gimnazjów osobnych liceów. Plan ten nie został jednak podówczas zrealizowany. Przeszkodziły mu poza innemi przyczynami względy natury finansowej.

Obecnie w Polsce jesteśmy świadkami przebudowy ustroju szkolnego mającej na oku między innemi i ten cel właśnie. Wydzielenie bowiem dwu ostatnich klas w osobne liceum ma na celu m. i. także stworzenie przegrody pomiędzy dawnem gimnazjum a właściwemi studjami wyższemi.

Przeprowadzana reforma budzi jednak w jednym swym punkcie znaczne wątpliwości, w drugim zaś, w zakresie jeszcze niezrealizowanym, domaga się wysunięcia pewnych określonych postulatów.

Wątpliwości budzi odebranie dawnemu gimnazjum nietylko dwu klas najwyższych, ale i dwu klas najniższych. To ostatnie znacznie osłabia

strukturę dawnego gimnazjum, które tylko przez cztery lata będzie miało wychowanka pod swoją opieką. Dawne gimnazjum przeciwstawiało się swym ośmioletnim rozmiarem czteroletniej szkole powszechnej, dziś sześcioletnia szkoła powszechna ma odpowiadać czteroletniemu gimnazjum. Stosunek staje się więc wprost odwrotny. Nie może zać ulegać wątpliwości, że w wykształceniu ogólnem punkt ciężkości musi być położony właśnie na wykształcenie średnie, a nie powszechne. Być może, że ujemnym skutkom tego stosunku zaradzi zatrudnianie w wyższych klasach dzisiejszej szkoły powszechnej nauczycieli, kwalifikowanych w zasadzie do nauczania w gimnazjum, czy liceum, nie znajdujących jednak pracy w tych szkołach.

Obok wspomnianej wątpliwości wysunąć należy także postulat: jeżeli nowe liceum ma spełnić swoje zadanie, musi stanowić tamę pomiędzy gimnazjum i pomiędzy uniwersytetami. Zadanie to może spełnić w dwojaki sposób: przez instytucję matury gimnazjalnej i licealnej. W tych maturach jednak, poza możliwością ich niezłożenia, powinna być przewidziana możność złożenia z równoczesnem dopuszczeniem do liceum, względnie do szkół wyższych obok możności złożenia z opuszczeniem jednak klauzuli umożliwiającej dostęp do liceum względnie do szkół wyższych. Dzięki temu egzaminatorowie nie będą stawali przed dylematami dzisiejszej matury, będą mogli dawać dyplomy ukończenia gimnazjum, czy liceum, dzieląc materjał absolwentów na kwalifikowanych i na niekwalifikowanych do studjów wyższych. Młodzież niekwalifikowana do tych studjów nie będzie jednak młodzieżą wykolejoną, czy zdeklasowaną, ponieważ będzie posiadała w ręku świadectwo zupełnego ukończenia pewnego typu studjów. Może stanąć otworem przed nią typ szkół średnich zawodowych, odpowiadających liceum, które powinno być furtką tylko dla przechodzących do studjów wyższych.

Reforma taka, obniżająca ilość studentów wpłynełaby dobroczynnie na pracę w uniwersytetach. Mogłaby być pogłębiona praca pedagogiczna profesorów, praca naukowa młodzieży. Wszak rola uniwersytetów nie może polegać tylko na roli masowej fabryki dyplomów!

System ten mógłby zacząć wchodzić w życie — jeżeli o uniwersytety chodzi — dopiero za lat 6, zważywszy, że w roku bieżącym reformą została objęta dopiero druga klasa dawnego gimnazjum. Przez tych zaś lat sześć nadprodukcja inteligencji może przybrać rozmiary katastrofalne.

Jeśli chodzi o prowizorjum tych sześciu lat nie widzimy innej drogi, jak wprowadzenie zasady numerus clausus na uniwersytetach, t. zn. ograniczenie ilości miejsc wolnych na pierwszym roku na wszystkich wydziałach wszystkich polskich wyższych szkół państwowych. W obrębie tego numerus clausus dobór studentów odbywałby się na podstawie konkursu matur, względnie na zasadzie egzaminów wstępnych. Jeżeli się nie postawi tych zasad, za lat kilka znaleść się możemy w położeniu bez wyjścia.

Postawienie zasady numerus clausus zmusi też do postawienia zasady procentu Żydów dopuszczonych do studjów wyższych. Jeżeli bowiem ograniczy się dostęp dla młodzieży polskiej, musi się — w myśl zasady sprawiedliwości — uczynić to i w stosunku do młodzieży żydowskiej, przyznając jej w ramach numerus clausus taki procent, jaki ludność żydowska posiada w państwie. Przy takiem postawieniu sprawy będzie można zwolna iść ku ograniczeniu Żydów pracujących w wolnych zawodach do procentu ludności żydowskiej w państwie polskiem. Obecny bowiem procent jest absurdalny. Trzeba przytem powiedzieć z pełnem poczuciem odpowiedzialności, że jeżeli nie będzie się stosowało zwolna i bez szczególnych wstrząsów tej zasady ograniczania, można w przyszłości doprowadzić do takiego zaognienia kwestji żydowskiej, któregoby sobie nie życzył niejeden z dzisiejszych antysemitów.

Przy stawianiu kwestji żydowskiej punktem wyjścia dla nas musi być ujęcie wyznaniowe. Inną kwestją byłaby sprawa uprawnień tych z Żydów, którzy zmieniliby wyznanie po wejściu w życie takiej ustawy. Ażeby nie doprowadzić do obchodzenia tak ustanowionej normy tą drogą, należałoby w stosunku do tych wychrztów zastosować ograniczenia w ich pokoleniu i ewentualnie w pokoleniu następnem. Osobno musiałyby być zastrzeżone prawa tych Żydów (i ich potomków), którzy zasłużyli się państwu przez służbę wojskową w czasie wojny.

Takie postawienie sprawy nie miałoby zresztą charakteru prowizorycznego — na sześć lat — gdyż sądzimy, że dopuszczenie z gimnazjum do liceum i z liceum do szkół wyższych będzie musiało też dokonywać się na podstawie zgóry ustalonych cyfr bezwzględnych.

Wszystko, co tu piszemy, jest bardzo sprzeczne z przyjętem dotąd działaniem „wolnych sił". Ale taki już zapanował porządek na świecie, że współczesność nasza odwraca się od haseł i zasad liberalizmu. Trzeba jednak wkroczyć na czas, zanim „wolne siły" za dużo nie nabroją.

Z. WOJCIECHOWSKI.

Jarmarki w Wielkopolsce*)

Kwestja żydowska w Polsce nie jest tego typu, żeby ją najsilniejszy nawet rząd narodowy mógł załatwić jednem pociągnięciem pióra. Żydzi umacniali się na naszych ziemiach przez setki lat, wgryzali się w nasz ustrój społeczny i pozbawili go całkowicie warstwy średniej (rzemieślniczej, drobno-przemysłowej, kupieckiej). Naprawienie tego wielkiego braku nastąpiło w b. zaborze pruskim w okresie niewoli, dzięki zorganizowanej działalności społeczeństwa wielkopolskiego wbrew oczywiście państwowym władzom pruskim.

Wolna Polska otrzymała w ten sposób tylko jedną dzielnicę zachodnią, w której istniał normalny ustrój społeczny z wszystkiemi warstwami, jakie zdrowe społeczeństwo musi posiadać. Miasta i miasteczka ziem zachodnich w tym zdrowym ustroju rozwijały się bardzo dobrze. Dziś znajdują się one w coraz gorszem położeniu gospodarczem, nietylko z powodu skutków kryzysu, które działają tutaj podobnie jak wszędzie, lecz także wskutek tego, że żydzi z innych dzielnic Polski organizują formalne najazdy planowo przemyślane przyjezdnych kupców żydowskich, którzy niszczą rodzime kupiectwo.

Wśród wielu jedną z ważnych przyczyn upadku tych miast i miasteczek są jarmarki, które w ostatnich zwłaszcza latach stały się potężnem narzędziem wpływów żydowskich na ziemiach zachodnich.

Jarmarki w czasach obecnych są przeżytkiem. Powstały one w wiekach średnich, kiedy w miastach nie istniały sklepy zaopatrzone w potrzebne towary na sposób dzisiejszy i główna czynność kupca nie polegała na sprzedaży towaru przychodzącym w tym celu do niego klientom, lecz na wyjazdach kupca na jarmarki do różnych często bardzo odległych stron. Kupcem był człowiek który zaopatrzywszy się w wyroby i produkty, w które obfitowało jego miasto i okolica wyruszał z temi towarami do dalszych miast i tu zgodnie z prawem składu wystawiał swój towar na rynku na sprzedaż, następnie zaś, zaopatrzywszy się w wytwory danego miasta, albo wracał do swego miasta rodzinnego, albo podróżował do dalszych miast. Ówczesne warunki komunikacyjne były bardzo niewydoskonalone i czynnością kupca było dowożenie towaru do klientów. W dzisiejszych warunkach przy wszechstronnym rozwoju środków komunikacyjnych czynność taka byłaby oczywiście absurdem. Kupiec przywiązał się obecnie do pewnego miejsca i dziś jego czynność nie polega na dowożeniu towaru do klientów lecz na ściąganiu klientów do swego sklepu. Na tej zmianie zyskał kupiec, bo odpadły mu podróże. Klient zyskał to, że poznał dokładnie kupca, że wie od kogo i co kupuje. Dla tego istnienie kupców jarmarcznych, usiłujących docierać do klienta i utrzymywać z nim jedynie przelotny kontakt, trzeba traktować jako anachronizm i czynniki decydujące powinny dążyć do likwidacji tego rodzaju handlu.

Zagadnienie to ma wagę szczególną dla ziem zachodnich. Do każdego prawie miasta zjeżdżają na jarmarki (to znaczy kilka razy w roku) kupcy ży-

*) Przypisek Redakcji: Odpowiadając na apel wystosowany przez ministra Miedzińskiego o formułowanie konkretnych sposobów załatwienia w Polsce kwestji żydowskiej redakcja „Awangardy" będzie w szeregu artykułów poruszała w sposób konkretny pewne odcinki kwestji żydowskiej w Polsce. Czynimy to tak w zamieszczonym niżej artykule, jak i w innych ogłaszanych w niniejszym numerze „Awangardy".

dowscy i zalewają rynek miejski tandetą. Żydzi przywożą zwłaszcza na jarmarki nie dobry towar, lecz rzeczywiście tandetę. Nie jest to frazes, lecz najrzeczywistsza prawda.

Na jarmarku kupiec z chwilą wciśnięcia swego towaru do ręki kupującemu traci z nim całkowicie kontakt i nic go już nie obchodzi, że kupujący na drugi czy trzeci dzień pozna że nabył tandetę. Kupiec mający swój sklep w mieście i swoją klientelę nie może oszukiwać, musi dać towar dobry, bo kupujący go znają. Dzięki „jarmarcznym tandeciarzom" budzi się nieufność do kupiectwa wogóle. Żydzi, jak wiadomo, celują w oszukańczym handlu, stąd też na ziemiach byłej Kongresówki i Małopolski w pojęciu obiegowym kupiec Żyd i oszust są to synonimy. Państwo musi oddziaływać w tym kierunku, żeby rzetelny kupiec mógł pracować a musi niszczyć handel, który za swą istotę uważa oszustwo. Z punktu widzenia wytworzenia w Polsce rzetelnej warstwy kupieckiej załatwienie sprawy tychże jarmarków na ziemiach zachodnich jest zagadnieniem o wielkiej narodowej wartości.

Jest jeszcze inna sprawa, która wiąże się z najazdem Żydów na jarmarki na ziemiach zachodnich.

Od Żydów na jarmarkach kupują prawie wyłącznie włościanie. Włościanin zbiera przez cały rok skrupulatnie grosze po to, by w dniu jarmarku oddać je za tandetę żydowską. Na jarmarkach włościanin tylko wydaje, gdyż sprzedaż produktów rolnych nie odgrywa na jarmarkach prawie żadnej roli. Włościanin sprzedaje swe produkty przez cały rok, zwłaszcza na tak zwanych targach, które w każdem miasteczku odbywają się przynajmniej raz na tydzień, wydaje natomiast swe oszczędności prawie wyłącznie na jarmarkach. Miasta i miasteczka ziem zachodnich, które żyją przedewszystkiem z tej okolicy, w której się znajdują i dla której pracują, znajdują się w tej sytuacji, że pieniądz gromadzony przez włościan z całej ich okolicy nie przychodzi do nich wcale lecz wyjeżdża w dniu jarmarku w kieszeni Żyda do innych dzielnic Polski, zwłaszcza do byłej Kongresówki. Jest to najwyższa niesprawiedliwość, jaką można tym miastom wyrządzić.

Do jakiego stopnia stanowi gospodarczemu naszych miast zagrażają jarmarczne najazdy żydowskie świadczy chociażby taki fakt, że w wielu miastach (np. Kórnik, Pniewy, Wronki i Jarocin) ludność oburzona powywracała stragany żydowskie i Żydów z miasta wypędziła. Skutki tego rodzaju akcji okazały się bardzo pożyteczne; w jednem na przykład mieście, po wypędzeniu Żydów, na następnym jarmarku było tylko 7 straganów żydowskich.

Rady miejskie niektórych miast chciały sprawy jarmarków załatwić w ten sposób, że zadecydowały same zniesienie jarmarków. Odnośne uchwały jednakże i podejmowanie podobnych uchwał zostały przez Województwo zakazane.

Trudno oczywiście podać dokładnie liczby ilustrujące rozmiary obrotów jakie Żydzi robią na jarmarkach na ziemiach zachodnich, ale bardzo dobrą wskazówką pod tym względem może być chociażby to, że Żydzi zajmują przeciętnie na jarmarku od 20 do 60, a nawet 70 procent stanowisk na rynku. Trzeba dalej dodać jeszcze że, zgodnie z żydowską metodą handlowania, na jarmark przybywa bardzo wielu drobnych kupców żydowskich, którzy nie wynajmują stoiska na rynku, lecz towar swój przenoszą z miejsca na miejsce w koszach i handlują chodząc.

Co robić w tej kwestji?

Trzeba jasno powiedzieć że jarmarki stały się rzeczywiście środkiem opanowywania ziem zachodnich przez Żydów. Chodzi Żydom o opanowanie handlu w tych miastach i o zniszczenie tego czem się ziemie zachodnie wobec całej Polski poszczycić mogą, to jest uczciwej warstwy kupieckiej. Jeżeli uprzytomnimy sobie w dalszym ciągu, że jarmarki są rozsadnikiem nieuczciwych metod handlowych, wtedy rozwiązanie narzuca się samo przez się. Jarmarki powinny być na ziemiach zachodnich całkowicie zniesione, gdyż szkodzą one uczciwemu kupiectwu, a włościanina w sposób podstępny zaopatrują w tandetę.

Żyjemy w okresie w którym polskie kupiectwo znajduje się w wielu wypadkach w położeniu katastrofalnem i każdy uczciwy rząd winien mu pomagać zwłaszcza że do walki z niem staje konkurent nieuczciwy. Zniesienie jarmarków na ziemiach zachodnich będzie zarządzeniem, które w interesie tegoż kupiectwa i dobrze pojętego interesu ogólnego powinno jaknajprędzej nastąpić.

Żydzi chodzący w delegacji do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z żądaniem ochrony na jarmarkach powinni pamiętać że nie należy zanadto przeciągać struny. Ziemie zachodnie pojmują walkę z Żydami w sposób bardzo praktyczny. Trzeba pamiętać że akcja tutaj nie skończy się na wiecu czy wybiciu szyby, lecz w razie dalszego trwania tych najazdów może z okazji każdego jarmarku nastąpić wypędzenie Żydów z miasta. Czynniki decydujące powinny wreszcie zrozumieć, że dalsze istnienie tychże jarmarków jest niemożliwe i muszą postąpić zgodnie z opinją całego społeczeństwa ziem zachodnich i znieść jarmarki. Zresztą czynniki decydujące nie powinny dopuścić do tego, żeby każdy jarmark zmieniał się w bójkę. Stan ten można bardzo dobrze osiągnąć przez zniesienie jarmarków. Żydzi będą oczywiście najeżdżali ziemie zachodnie w dalszym ciągu i handlowali pokątnie, zwłaszcza po nocach. Ale tutaj o ile skrupulatnie zastosowane zostaną przez władze przepisy dotyczące handlu, to konkurencja ta nie będzie dla rodzimego kupca groźna. Ziemiom zachodnim należy się zarządzenie znoszące jarmarki.

W całokształcie rozwiązania zagadnienia żydowskiego oczywiście kwestja jarmarków na ziemiach zachodnich może wydawać się drobną i może nawet za drobną żeby się nią tak szczegółowo zajmować, ale czas najwyższy przystąpić w Polsce do rozwiązywania praktycznego kwestji żydowskiej, ogólnie bowiem całość niebezpieczeństwa żydowskiego jest już dobrze w umysły narodu polskiego wpojona. Jarmarki na ziemiach zachodnich są jednem z ogniw całokształtu zagadnienia żydowskiego.

Chodzi oczywiście o jarmarki na ziemiach zachodnich narazie, ponieważ tylko te ziemie mają dobrze zorganizowaną i rzetelną warstwę kupiecką czysto polską i tej, jednej z niewielu czysto polskich placówek gospodarczych należy się chociażby drobna pomoc ze strony czynników decydujących. Ziemie zachodnie kwestję żydowską przed wojną załatwiły już metodą praktycznego rozwiązywania poszczególnych zagadnień kwestji żydowskiej: odbierano Żydom po kolei różne rodzaje handlu i przemysłu i po załatwieniu tych wszystkich „drobnych" kwestyj okazało się że Żydów na tych ziemiach już niema.

Dziś trzeba pracować tak samo i skutek będzie ten sam.

JAN SZYSZCZYŃSKI.

Dramat wsi polskiej.

ZAGROŻONA ROZRODCZOŚĆ I ZDROWIE FIZYCZNE NARODU

Nędza wsi polskiej, w szczególności niedostateczne — często wręcz głodowe — odżywianie się szerokich mas chłopskich wybija się coraz bardziej na czoło współczesnych bolączek naszego życia narodowego.

Do niedawna jeszcze problem ten nie zwracał na siebie dostatecznej uwagi ze strony polskiej opinji publicznej. Ubolewano wprawdzie powszechnie nad spadkiem konsumcji u ludności wiejskiej, zajmowano się dużo przysłowiowemi już „nożycami" cen produktów przemysłowych i produktów rolniczych, jednak rzadko kto zdawał sobie sprawę ze złowrogich skutków, jakie owo przymusowe ograniczenie spożycia pociągnąć musi dla zdrowia i sił żywotnych całej naszej rasy. Do tej pory słyszy się jeszcze często, że chłop nasz posiada tak małe potrzeby w zakresie odżywiania się i wogóle całego sposobu życia, że może przetrzymać i najcięższe okresy bez większych szkód dla siebie i swych dzieci.

Niestety, rzeczywistość w coraz większej mierze zadaje kłam tym nazbyt optymistycznym poglądom, które przekształciły się w ustach naszej inteligencji w rodzaj utartych komunałów i żyją nadal w tej postaci, choć zrodziły się w innych zupełnie warunkach. Dzisiaj dolna granica potrzeb naszej naszej ludności wiejskiej została już znacznie przekroczona i stoimy w obliczu naprawdę groźnych objawów.

Obecna nędza wsi polskiej powoduje bezpośrednio dwa fakty: szybko postępujący spadek liczby urodzeń, temsamem więc zmniejszenie się naszego przyrostu naturalnego — oraz fizyczne degenerowanie się mas chłopskich te-

go głównego rezerwuaru naszego — każdego zresztą — narodu.

Spadek rozrodczości zaznacza się szczególnie silnie od dwóch lat, a ostatnio przybrał rozmiary wprost katastrofalne. Nie będziemy tu podawali znanych ogólnie cyfr z tej dziedziny, podkreślimy tylko, że w chwili obecnej Polska pod względem przyrostu naturalnego stoi już poniżej Portugalji, w najbliższym zaś czasie, jeśli tak dalej pójdzie, zdystansują ją także Holandja i Włochy, gdzie walka Mussoliniego z depopulacją daje wcale dodatnie wyniki.

Spadek przyrostu naturalnego w Polsce jest oczywiście szczegolnie silny po miastach, gdzie do tego stanu rzeczy obok zubożenia ludności przyczynia się także destrukcyjna działalność p. Boya-Żeleńskiego i jego „poradni świadomego macierzyństwa". Ostatnio jednak ograniczanie liczby potomstwa przerzuca się coraz silniej także na wieś, gdzie pobudek szukać już należy tylko w dziedzinie ekonomicznej, w niemożności wyżywienia większej liczby dzieci.

Przytem — co jest szczególnie groźne — ludność obcojęzyczna naszych kresów wschodnich (Rusini i Białorusini) wykazuje w tej dziedzinie większą odporność, niż ludność polska, to też spadek rozrodczości na tych obszarach jest znacznie słabszy, niż w Polsce środkowej, zachodniej, czy południowo-zachodniej. Jeśli to zjawisko potrwa dłużej — a nic niestety, nie wskazuje na bliski jego koniec — doczekamy się niebezpiecznych przesunięć w składzie narodowościowym ludności Rzeczypospolitej.

Na nic się zda osiedlanie ludności polskiej w województwach wschodnich, jeśli ta ludność będzie się rozradzała znacznie gorzej niż jej współobywatele ruscy czy białoruscy. W tej dziedzinie Polska gotowa jest — w dosyć niedługim już czasie — stanąć przed takim samym problemem, jak przedwojenne Niemcy wobec silnie powiększającej się ludności polskiej w swych ówczesnych wschodnich prowincjach.

Potrzebna jest natychmiastowa, na wielką skalę zakrojona akcja zaradcza pod hasłem obrony rozrodczości i zdrowia — zarówno fizycznego, jak moralnego — wsi polskiej. Nim jednak zastanowimy się, w jakim ona powinna iść kierunku, przyjrzyjmy się nieco rozmiarom katastrofy. Przyczynków z tego zakresu aż nadto dużo dostarczyła prasa w ciągu ostatnich paru miesięcy.

JAK ŻYJĄ ZAMOŻNIEJSI WŁOŚCIANIE POLSCY

Rozpocznijmy od okolic zamożniejszych i lepiej zagospodarowanych. Ciekawe są tu dane, zamieszczone niedawno na łamach żywo redagowanego tygodnika „Myśl i Czyn", ukazującego się od pół roku w Warszawie.

Dane te dotyczą dobrze zagospodarowanych gospodarstw chłopskich w Siedleckiem, mniejwięcej o 100 kilometrów na wschód od stolicy. Okazuje się, że gospodarstwa te — mimo największych wysiłków ich właścicieli, włościan światłych i pracowitych — są deficytowe. Dla uzyskania plonu żyta w ilości 9 metrów z morga konieczne są wydatki w gotówce, wynoszące minimum 139 zł. — ponieważ zaś maksymalna cena, jaką w danej chwili można uzyskać za żyto, wynosi 14 zł., t. j. przy 9 metrach — 126 złotych, przeto związanie końca z końcem jest wręcz fizyczną niemożliwością.

Zaznaczyć zaś przytem należy, że w obliczeniach tych nie wzięto pod uwagę sztucznych nawozów, które powiększyłyby jeszcze koszta produkcji, dalej lat nieurodzaju, w których nie można otrzymać 9 metrów z morga, kosztów utrzymania budynków, oprocentowania wartości ziemi, wreszcie podatków.

Dopiero, gdy sobie to wszystko uprzytomnimy, ujawni się w pełni niedola naszego rolnika i całe jego bohaterstwo, bo bohaterstwem trzeba nazwać pracę, której wynik nie stoi w żadnym stosunku do wyłożonego trudu i pieniędzy.

Na tle tych stosunków — stwierdza autorka artykułu „Myśli i Czynu" — nikogo nie powinno dziwić, że na wsi naszej zapałki to luksus. Aby ich oszczędzić, przenosi się ogień z chaty do chaty.

Mydło to rzecz, którą wieś musi oszczędzać niebywale; dochodzi do tego, że mydlin się nie wylewa, tylko jedna sąsiadka oddaje je drugiej

Wieś nasza przestała wogóle używać t. zw. soli jadalnej, zadawalać się musi natomiast solą bydlęcą, a i ta używana jest więcej niż skąpo. Dość powiedzieć, że woda, w której w zamożniejszej chacie gotowano ziemniaki, idzie do biedniejszych sąsiadów, którzy jej raz jeszcze używają, by skorzystać z tej odrobiny soli, jaka się tam znajduje. Nic dziwnego, że spożycie soli jadalnej w naszym kraju, posiadającym tak bogate kopalnie tego produktu, spadło w ostatnim roku o 25 tysięcy wagonów.

NIEOKRASZONE KARTOFLE JAKO PODSTAWA POŻYWIENIA

Wieś nasza nigdy zbyt dobrze się nie odżywiała — dziś jednak sprawa ta przedstawia się wręcz tragicznie. Chleb na przednówku mało gdzie się pojawia; gdy jest jajko, lub trochę mleka, to idzie to na podatki, tak samo, jak świnia, czy cielę. Podstawą odżywiania są nieokraszone kartofle.

Są na wsi dzieci, które cukru nigdy nie widziały; kawę się gotuje na wodzie, w której wygotowano poprzednio burak cukrowy.

Przy tym stanie odżywiania się choroby szerzą się zastraszająco; gruźlica kości i płuc zbiera obfite żniwo. O tem, aby zamożny nawet gospodarz mógł sobie pozwolić na lekarza, nawet marzyć nie można, — na wsi zaś niema kas chorych ani ośrodków zdrowia.

Z ubraniem w tych okolicach, gdzie przetrwał zwyczaj tkania płótna i wełny, jest jeszcze pół biedy; tam kosztem długich godzin, które kobiety spędzają przy kołowrotkach i krosnach, rodzina jest jako tako ubrana. Ale z obuwiem jest już całkiem źle — często na rodzinę, złożoną z 6 osób, przypada jedna para butów. W tych warunkach np. powszechne nauczanie staje się zupełną fikcją, bo przecież szkoły w większej części kraju porozmieszczane są nie gęściej, jak co 3—4 klm.; przy mrozach jest niepodobieństwem posyłać dzieci do szkoły taki kawał drogi na bosaka....

BEZNADZIEJNY WYGLĄD WSI

Smutna i opuszczona jest obecnie wieś polska. Szyby często powybijane, okna zatkane szmatami czy papierem, bo niema za co wprawić nowych szyb. Wszędzie brud i błoto; już o godz. 7-ej wieczór gasną wszystkie światła, bo nawet tam, gdzie jest trochę nafty, trzeba jej oszczędzać.

Podobnie beznadziejnie brzmią relacje p. Jugurty w „Przeglądzie Charytatywnym", który stwierdza, że dzisiejsza rzeczywistość wsi polskiej jest czemś wręcz potwornem.

Chłop jedzie na jarmark, a w domu czeka już wójt, sekwestrator, a nierzadko komornik. Od zbiorów ci trzej panowie nie wychodzą z chłopskiego mieszkania. Jeśli nie da dobrowolnie, wezmą siłą, a to jeszcze więcej go będzie kosztowało. Więc z głuchą rozpaczą w duszy sprzedaje żyto po 8 złotych, by je na przednówku kupić po 22! Ostatnią krowę wtedy poprowadzi na jarmark, by nie umrzeć z głodu.

Przed wojną chłop kupił za dwa jajka trzy paczki zapałek. W każdej paczce było 60 zapałek. Teraz, przy cenie 4 groszy za jajko, potrzeba 2 i pół jajka na jedną paczkę zapałek, w której bywa tylko 46 sztuk.

Takie same porównania możnaby poczynić i w innych kierunkach. Tak np. cena paczki machorki przedwojennej odpowiadała cenie 400 gramów (t. j. funta „królewiackiego") chleba. Dzisiaj taki funt kosztuje 14.4 gr., a machorka 60 groszy. To samo jest z solą i z innemi produktami monopolowemi.

Trudno się dziwić, że przy takiej proporcji cen i nieproporcjonalnie wyższych podatkach, wśród których podatki „sejmikowe" bywają zazwyczaj ostatnim gwoździem do trumny dobrobytu chłopa polskiego — chłop ten jest zaniedbany, brudny, nieraz wprost dziki. Nie może on kształcić siebie, ani kształcić dzieci, nie może wprowadzać w swej gospodarce ulepszeń, ani inwestycyj i wogóle nie może sobie na nic „pozwolić". Ten okrzyczany „paskopiast", mając 5 hektarów niezłej ziemi, nie może kupić nieraz ani całej paczki zapałek, ani paczki machorki. Kupuje więc zapałki za 1 lub 2 grosze, a machorkę za 1 lub 2 jajka. Przyczem zapałkę tę jeszcze rozerżnie w domu na dwie połowy i użyje jej dwukrotnie. Bywają jednak domy, w których od roku już nie kupiono ani jednej zapałki.

GŁÓD W ZIEMI WILEŃSKIEJ

W ten sposób żyją nasi włościanie w województwach środkowych i południowych — natomiast na kresach wschodnich jest jeszcze dużo gorzej i to głównie w tych okolicach, gdzie obok ludności białoruskiej żyją także licznie chłopi polscy, a mianowicie na Wileńszczyźnie. Panuje tam poprostu głód, który objął większość powiatów województwa wileńskiego. Według urzędowych, bardzo optymistycznych

danych w pięciu powiatach północno-wschodnich tego województwa głoduje około 20 tysięcy osób. Cyfry rzeczywiste są dużo wyższe.

W powiecie święciańskim znajdujemy wioski, w których jedna (!) sztuka nierogacizny przypada na 20 gospodarstw. Podobnie — w zakresie inwentarza żywego — przedstawia się sytuacja w powiatach brasławskim, postawskim, dziśnieńskim, wilejskim i mołodeczańskim. Cóż jednak mówić o inwentarzu, skoro ludzie po wsiach już od października pieką chleb nie z mąki żytniej, czy chociażby kartoflanej, lecz z — wrzosu, albo kory drzewnej.

Do klęski głodowej dołączyła się jeszcze druga w postaci epidemji tyfusu zwykłego i plamistego.

Bezpośrednią przyczyną tegorocznego głodu na Wileńszczyźnie jest nieurodzaj, wywołany nadmiarem deszczów oraz chłodami, które zniszczyły w r. ub. zasiewy, a przedewszystkiem okopowizny. Jednak położenie ludności nie byłoby tak katastrofalne, gdyby nie rosnąca już od paru lat bieda wsi.

BEZCELOWA PROPAGANDA.

W obliczu tej biedy na szyderstwo wprost zakrawają owe liczne kursy i pogadanki dla wsi na temat jej racjonalnego odżywiania się. Coraz więcej jest gospodyń, które te rzeczy już dobrze rozumieją — ale cóż mają robić, gdy rozporządzają jedynie kartoflami i to przeważnie w niedostatecznej ilości...

Podobnie na kpiny wprost wyglądała propaganda spożycia cukru, zorganizowana wielkim kosztem dwa lata temu, w czasie, gdy nasza ludność wiejska, stanowiąca — jak wiadomo — 70 procent zaludnienia całego kraju, nie była już w stanie produktu tego nabywać. Nie inaczej rzecz się przedstawia z propagandą hygjeny na wsi; idzie to obecnie zupełnie na marne, skoro kupno kawałka mydła stało się dla chłopa zbytkiem.

Trzeba najpierw poprawić stan materjalny tego chłopa, ale tego nie da się osiągnąć bez poważnych przeobrażeń w całej strukturze gospodarczej naszych wsi, miast i miasteczek w większej części Rzeczypospolitej. Rzecz ta jednak wymaga osobnego omówienia.

S. W.

Elementy rodzime w cywilizacji polskiej[1)]

Cechą rodzimą cywilizacji polskiej jest oparcie jej na podstawach rodowych. Nie wynika z tego bynajmniej, jakoby zasady organizacji rodowej właściwe były tylko Polsce; ród jako jednostka społeczna jest zjawiskiem ogólnoludzkiem, pojawia się we wszystkich społeczeństwach indoeuropejskich, jest znany tak dobrze u Greków i Rzymian, jak i u Celtów, Germanów i Słowian. We wszystkich społeczeństwach indoeuropejskich zanaczał się po pewnym czasie rozkład organizacji rodowej. U Rzymian etapy tego rozkładu określone są z jednej strony dawną wspólną własnością rodową, z drugiej zaś ukształconą później klasycznie pojętą własnością indywidualną. Jest przytem rzeczą ciekawą, że u Celtów, Germanów i Słowian rozkład związków rodowych dokonywał się tak pod wpływem procesów rodzimych jak też pod wpływem rzymskim. Jeżeli więc mówimy o szczególnej roli węzłów rodowych w dziejach cywilizacji polskiej to dlatego, że ostateczne ukształtowanie się tej cywilizacji dokonało się przed rozłożeniem ustroju rodowego. Nad dziejami polskiej cywilizacji zaciążyła młodszość rozwojowa Słowian polskich, dzięki której w pełnem średniowieczu mogli wystąpić na widownie dziejową w archaicznej szacie społecznej. Wpływy zachodnie szaty tej nie zniszczyły, przetkały ją tylko dziwną mozajką barw i w ten sposób powstał najbardziej oryginalny splot archaicznych urządzeń rodzimych i zaawansowanych cywilizacyjnie wpływów obcych.[2)]

Nie zamierzam na tem miejscu pisać rozdziału z historji ustroju Polski, poświęconego najdawniejszej polskiej organizacji rodowej; niemniej jednak trzeba dać najbardziej ogólny zarys jej cech, albowiem tylko na tem tle mogą być zrozumiałe późniejsze spostrzeżenia.

Wiemy zatem, że stary ród polski żył we wspólnocie majątkowej. Ślady jej przetrwały bardzo długo, bo aż do końca polskiego średniowiecza, a polegały na tem, że według postanowień dawnego prawa polskiego, nie można było aljenować majątku rodowego nie zaofiarowawszy go poprzednio współrodowcom do pierwokupu. Nie chodziło tutaj o ochronę praw bezpośrednich spadkobierców lecz właśnie o cały ród, „haeredes vel consanguinei qualescunque“ jak mówi wspaniałe źródło narracyjne z XIII wieku, „Liber fundationis claustri S. M. Virginis in Heinrichow“ t. j. księga uposażenia klasztoru Cystersów w Henrykowie na Śląsku (str. 65).

Innym przejawem związku rodowego była zasada zemsty i odpowiedzialności rodowej. Za zbrodnię popełnioną przez jednego z członków rodu mścił się cały ród — i odpowiadał cały ród. Rzecz jasna, że zasady te musiały działać prewencyjnie. Dziesięć razy trzeba się było namyśleć, zanim popełniło się zbrodnię, która pociągała za sobą gniew rodu wrogiego — i gniew własnego, który wszak tym krokiem był poszkodowany. Nie w tem jednak sedno rzeczy. Zasada zemsty i odpowiedzialności rodowej pozwala nam ujrzeć osobowość rodu, w której nikną poszczególni ludzie. Jednostką społeczno-prawną jest ród. Dziś, gdy głosi się hasła organicznie pojętego narodu, godzi się przypomnieć te indoeuropejskie i zarazem staropolskie związki rodowe z ich organicznym układem.

Trzecim przejawem organizacji rodowej był kult przodków, który w Polsce przetrwał też do późnego średniowiecza (ślady zemsty rodowej spotykamy na Mazowszu w XVI wieku, a na Podhalu jeszcze później!). Kult przodków to zalążek religji i tego, co później nazywamy historją narodową.

Ród zbudowany był na zasadach równości. Pomijamy tutaj instytucję niewolnictwa, niewolnicy stali wogóle poza rodem. Hierarchja w obrębie rodu wyrażała się tylko w urzędzie naczelnika rodu, staroście. Spotykamy go w źródłach pomorskich, w pozostałej zaś Polsce przedewszystkiem w dynastji panującej.

Na tych podstawach poczęła się kształtować organizacja państwa i społeczeństwa Polski piastowskiej. Organizacja państwa to przedewszystkiem organizacja dynastji. Zgodnie z tem, co powiedziano wyżej, dynastja w Polsce piastowskiej ma ustrój rodowy. Nie chcę bynajmniej powiedzieć by był to ustrój rodowy w jego postaci bezwzględnej t. zn. jakoby rządził Polską ród piastowski, pozostający we wspólnocie majątkowej. Przeciwnie. Dzieje ustroju dynastji piastowskiej to historja zmagania się pierwiastka rodowego z młodszym socjologicznie pierwiastkiem rodzinnym. O ile jednak ten ostatni w dziejach monarchji frankońskiej już w VI w. po Chrystusie zapanował niepodzielnie w ustroju dynastji, o tyle w Polsce ślady rodowej budowy dynastji zaznaczają się jeszcze w wieku XIV!!

Działanie pierwiastków rodzinnych powoduje, że Polska conajpóźniej od śmierci Mieszka I dzielona jest między synów poprzednika. Zasada ta doprowadziła później, w wieku XIII do rozbicia dzielnicowego w Polsce, zwłaszcza na Śląsku. — Przeciwstawiała się jej jednak zasada rodowa. Według polskiego prawa dynastycznego, w braku krewnych męskich zstępnych, dziedziczyli krewni boczni, i to bez określonego porządku, ponieważ wszyscy w równym stopniu byli członkami rodu. W obrębie rodu poczęły się coprawda wyróżniać lepsze prawa rodziny, jednak to, co nie było rodziną w najwęższem tego słowa znaczeniu, miało jednakowe prawa. Na tych prawnych podstawach oparło się zjednoczenie Polski w w. XIV. Łokietek zbierał poszczególne dzielnice jako krewny boczny; szczęśliwym trafem Piastowie, po których dziedziczył Łokietek, nie mieli synów.

Przejawem rodowej budowy dynastji była także instytucja zwierzchniego księcia, który był starostą rodu Piastów. Nie jest trafne spotykane często mniemanie, że instytucję tę wprowadził dopiero Bolesław Krzywousty w swoim testamencie. Była ona znana dużo dawniej. Starostą rodowym

1) Odczyt wygłoszony w Poznaniu 7. III. 1934 r.

2) Przedstawienie takie wywodzi się przedewszystkiem z badań śp. prof. Oswalda Balzera. O badaniach tych i ich znaczeniu dla odkrycia rodzimych cech polskiej cywilizacji, jak też o dalszej literaturze przedmiotu por. Z. Wojciechowski, Oswald Balzer, Lwów, Ossolineum, 1933, str. 130 (zwłaszcza str. 27—48).

prawdopodobnie był już Mieszko I, a zupełnie pewnie Mieszko II i Bolesław Śmiały. Krzywousty oparł tylko zwierzchnie księstwo o zasadę senjoratu t. zn. orzekł, że zwierzchnim księciem (starostą rodu) ma być każdorazowy najstarszy członek rodu t. j. jego senjor. W takiem postawieniu sprawy mocno uwypukliły się rodowe podstawy tej instytucji. W konsekwencji bowiem, zwierzchnie księstwo nie miało być związane z żadną rodziną, lecz miało przechodzić z rodziny do rodziny, zależnie od tego, w której z nich znajdował się w danym momencie najstarszy członek rodu panującego. Ale i tutaj poczęły wysuwać się na czoło elementy rodzinne. Zwycięstwo odniosły w tym momencie, w którym Kazimierz Sprawiedliwy uzurpował dziedziczność wielkiego księstwa w obrębie swej rodziny. Był to jednak początek końca wielkiego księstwa. Ówczesna Polska idąca w kierunku rozbicia dzielnicowego przestawała uznawać następców Sprawiedliwego, którzy przemienili się w zwykłych książąt dzielnicowych.

Mylnem byłoby jednak przypuszczenie, że dzieje wewnętrzne Polski od w. X do XIV ograniczają się do ścierania się tylko pierwiastków rodowego i rodzinnego w ustroju dynastji. Rozbicie wewnętrzne nie było wypływem jedynie nasilania się pierwiastka rodzinnego, podobnie też zjednoczenia dzielnic w pocz. XIV w. nie można przypisywać jedynie powstaniu korzystnych warunków dla działania pierwiastka rodowego tkwiącego w ustroju dynastji. Były i inne przyczyny, które niezależnie od rozkładu rodu wpływały ze swej strony czyto na wzmożenie się elementów rodzinnych, czyto później na wtórne działanie pierwiastków rodowych. Mam tu na myśli niebezpieczeństwo zewnętrzne, w szczególności niemieckie. Jeżeli Polska staropiastowska, t. zw. Polska Bolesławów jest Polską nierozbitą na dzielnice, to z tej przyczyny, że podlega ciśnieniu wielkiego bloku zjednoczonego cesarstwa. Rozkład cesarstwa na przełomie wieków XII i XIII to równocześnie powstanie warunków zewnętrznych dla rozbicia dzielnicowego w Polsce. Gdy zaś od połowy w. XIII stanie zachodnia Polska w obliczu niebezpieczeństwa brandenburskiego, z miejsca pojawi się pęd ku zjednoczeniu (Przemysł II i Mszczuj II). Ten pęd znajdzie swój współczynnik w żywo bijącem tętnie poczucia narodowego na którego wzrost oddziałało również w dużej mierze niebezpieczeństwo, ujawnione ze strony Marchji Brandenburskiej i państwa krzyżackiego.

Wracając do Polski staropiastowskiej przypomnieć też trzeba, że utrzymanie jedności państwa było niezbędnym warunkiem trwałego ukształcenia się państwa polskiego i narodu polskiego. Walki Bolesławów z zasadą podziałów rodzinnych dobrze świadczą o instynktach państwowotwórczych założycieli dynastji piastowskiej. Podziały dzielnicowe przyszły w momencie, w którym istniało już utrwalone pojęcie państwa i narodu polskiego. Symbolem zjednoczonego państwa były insygnja królewskie Bolesława Śmiałego, spoczywające w skarbcu katedry wawelskiej. Dopatrywały się w nich zapowiedzi lepszych czasów pokolenia polskie wieku XIIIgo, uważające rozbicie dzielnicowe za karę zesłaną na Polskę za zamordowanie św. Stanisława.

Z tem wszystkiem jednak nie należy niedoceniać znaczenia elementów rodowych tkwiących w ustroju dynastji piastowskiej dla utrzymania jedności państwa. Było łaską dla Łokietka i dla Polski, że jednocząc państwo w w. XIV mógł się oprzeć o swoje prawa krewnego bocznego. Nie musiał działać jako podbójca czy uzurpator lecz mógł występować w roli prawego dziedzica. Cała tragedja Śląska to brak praw dziedzicznych Łokietka w stosunku do książąt śląskich obdarowanych męskiem potomstwem. Wiadomo, jak bardzo czuł się zależnym Łokietek od tych pojęć prawnych, jak ich nie umiał przełamać.

W jeszcze większym stopniu powiedzieć to trzeba o elementach rodowych związanych z instytucją wielkiego księcia. Dopóki instytucja ta istniała, umożliwiała formalne utrzymanie jedności państwa mimo podziałów, względnie zachęcała wielkiego księcia do zupełnego usunięcia książąt dzielnicowych. Próbował tego Władysław II — lecz tym razem bez skutku. Tradycja wielkoksiążęcej władzy Władysława II wpłynęła jednak zapładniająco na ambicje polityczne śląskiej gałęzi Piastów. Tu biorą swój początek plany koronacyjne Henryka Brodatego i Pobożnego, tu miała swe źródło akcja zjednoczeniowa podjęta w końcu XIII w. przez Henryka IV Probusa, do którego planów nawiązał później Przemysł II a po nim Łokietek.

Elementy rodowe zaznaczyły jednak swe istnienie nietylko w sferze stosunków dynastycznych ale również w organizacji szerokich mas społeczeństwa. To bowiem, co widzimy w budowie dynastji jest tylko odbiciem tego, co było powszechnem w społeczeństwie. Samo społeczeństwo w dalszym swoim rozwoju rozbiło się na dwa ugrupowania: rycerstwa i wieśniaków. Rozdział zresztą tych dwu grup dokonywał się bardzo powoli i jeszcze w XIII wieku istniały kategorje ludności, o których nie wiedziano dobrze do jakiej ze wspomnianych dwu grup je zaliczyć.

Społeczność rycerska stała się najsilniej dziedzicem dawnego społeczeństwa rodowego Polski przedpiastowskiej. Polski ród rycerski związany jest swym stosunkiem do ziemi — jak to wyżej wspomniano; podlega też zasadom zemsty i odpowiedzialności rodowej, dawny zaś kult przodków przybrał oblicze chrześcijańskie, wyrażające się w osobie św. patrona, którego imię powtarza się w każdem pokoleniu rodu. Ciągłość imienia to ciągłość rodu, nawiązywanie do przodków. Jedna rzecz tylko uległa zmianie: zniknął dawny naczelnik rodu, starosta; w źródłach prawnych o nim głucho. Powstanie organizacji państwowej spowodowało zatem ścięcie hierarchicznej nadbudowy rodu, państwu niepotrzebnej i niewygodnej.

Szczegół ten w stosunkach polskich miał mieć doniosłe znaczenie. Mówiliśmy wyżej, że w obrębie rodu panowała w zasadzie równość, jedyny wyjątek tworzył właśnie starosta. Po jego zniknięciu równość rodowa uległa wzmocnieniu. W dawnej Polsce nietylko jednak ludzie byli sobie równi w obrębie jednego rodu, ale obok tego jeden ród w zasadzie równy był drugiemu. Stąd bierze początek późniejsza zasada równości szlacheckiej.

Trzeba dodać, że późniejsza szlachta polska bynajmniej nie wywodzi się tylko z tych rodów przedpiastowskich, które po powstaniu państwa weszły w skład rycerstwa. Powszechnie wiadomo, że do Polski przybywało z zagranicy rycerstwo obce. Działo się to conajmniej od czasów Chrobrego. Obcego pochodzenia są znakomite rody Pałuków, Awdańców (Skarbków), Łabędziów, Odrowążów i in. Obok wielkich ryb wpływały do stawu polskiego i małe płotki jakich sporo widzimy np. w XIII w. na Śląsku. Wszyscy ci imigranci po osadzeniu ich na ziemi asymilowali się do form rodowych właściwych rodzimemu społeczeństwu polskiemu. Dotyczy to przedewszystkiem rodowego stosunku do ziemi. Ród staropolski miał pełnię własności; przybyszom nadawano niekiedy ziemię tytułem ograniczonym, wnet jednak uzurpowali sobie własność pełną i poczęli siedzieć na ziemi systemem rodowym t. j. przepajając własność pełną także cechami staropolskiej wspólnoty majątkowej. Podobnie rzecz miała się i z członkami drużyny książęcej, której pokaźny ślad przechował się z czasów Mieszka I: w jej skład wchodzić musieli i wspomniani wyżej przybysze obcy, którzy zapewne — w dobie wcześniejszej — nie odrazu osadzani byli na ziemi, lecz z początku tworzyli część drużyny książęcej.

Najróżnorodniejsze te elementy conajpóźniej w wieku XIII przetapiają się w jedną rodową całość. Nad jej późniejszemi losami zaciążyła jednak nietylko siła asymilacyjna pierwiastków rodowych tkwiących w społeczeństwie staropiastowskiem, ale ponadto także los urzędów w Polsce piastowskiej.

Jeżeli bowiem społeczeństwo piastowskie zestawimy z zachodnim światem feodalnym, to zobaczymy, że różnią się one wzajemnie nietylko zapóźnioną obecnością pierwiastków rodowych w Polsce i wiążącą się z tem budową społeczeństwa szlacheckiego, opartą na zasadach równości, ale również brakiem w Polsce tych szczebli hierarchicznych, które na zachodzie stworzone zostały przez t. zw. feodalizację urzędów. Na zachodzie w w. X, jak we Francji, lub najpóźniej w zaraniu wieku XIII jak w Niemczech, dokonała się feodalizacja urzędów, tj. zamiana urzędów przy włączaniu ich w system lenny, na dziedziczne. We Francji masy rycerstwa-szlachty zostawały w bezpośrednim stosunku do władcy. Ci nawet z wasali, którzy pierwotnie bezpośrednio podlegali królowi, po feodalizacji urzędów podporządkowani zostali poszczególnym „comtes". Wasali królewskich t. j. bezpośrednio zależnych od króla po dokonaniu tego procesu spotykamy tylko na obszarze małego terytorjum („Duché de France"), nad którem król francuski władał bez-

pośrednio. W zależności zaś dopiero od jednych i drugich wasali pozostaje właściwe rycerstwo-szlachta, „les chevaliers". Jakże to odmienne od tego, co spotykamy w Polsce, w której stosunek szlachty do króla przypomina — porównując stosunki polskie z francuskiemi — stosunek wasali królewskich do króla przed podporządkowaniem tych wasali komesom, wzgl. — jak później — stosunek do króla wasali królewskich z obszaru „Duché de France". — Długa drabinka hierarchji feodalnej występuje i w Niemczech.

W Polsce proces feodalizacji urzędów nie dokonał się: przedewszystkiem z racji działania elementów rodzinnych tkwiących w polskim ustroju dynastycznym: elementy te powodując ciągłe dzielenie państwa doprowadzały do powstawania dzielnic, na obszarach jednostek administracyjnych, mających do tej chwili osobnych urzędników na czele. Znikał urzędnik a w jego miejsce pojawiał się książę dzielnicowy. Proces ten na dłuższą metę miał się zresztą dla Polski okazać zbawienny, gdyż kiedy w Polsce oparcie się Łokietka na prawach dziedzicznych krewnego bocznego doprowadziło do zjednoczenia państwa już z początkiem wieku XIV, w Niemczech przełamanie dzielnicowości dokonało się dopiero po ich zwycięstwie nad Francją w r. 1871, a ostateczną unifikację przeprowadził dopiero Hitler!

Nie wszystkie jednak urzędy zostały usunięte przez powstające księstwa dzielnicowe. W każdem księstwie był zastępca księcia w osobie wojewody i kilku czy kilkunastu kasztelanów, którzy sprawowali władzę administracyjną w kasztelanjach. Urzędnicy ci nie zdołali jednak zamienić się na urzędników dziedzicznych; próbowali uczynić to wojewodowie w Małopolsce (niektórzy przybierali nawet książęcą formułę Dei gratia — z Bożej łaski), ale bezskutecznie. Jeszcze mniej szans mieli kasztelanowie, których dobijały przeobrażenia prawne dokonujące się w Polsce w XIII w., podrywające ich władzę. Postawieni pomiędzy księciem a masą społeczeństwa rodowo - rycerskiego, jedni i drudzy byli za słabi, by zdobyć sobie i utrwalić własną niezależną pozycję.

Skończyło się zatem na masach rodowców wzajemnie sobie równych, bezpośrednio podległych władcy. I teraz zaczyna się najciekawsze. Do Polski docierają pojęcia prawne zachodnie, także i takie, które tam łączyły się tylko z wyższemi szczeblami drabinki lennej. Pojawiając się w Polsce w XIII w. jako uprawnienia czynnika społecznego — rozlewają się najszerszą falą nie znajdując dla siebie punktów zaczepienia, odpowiadających stosunkom zachodnim. Najbardziej znamienna jest sprawa t. zw. iudicia maiora, tj. prawa sądzenia poddanych w cięższych sprawach kryminalnych. Na prawie tem wyrosła w Niemczech instytucja władztwa terytorjalnego. W Polsce każdy szlachcic uzyskał władzę w dziedzinie iudicia maiora i w ślad za tem każda posiadłość szlachecka odpowiada u nas niemieckiemu władztwu terytorjalnemu. Jakąż specjalną psychologję musiał wyrobić w sobie naród szlachecki, złożony z masy równych sobie „władców terytorjalnych", z prawem życia i śmierci na swoim folwarku!! Jakże też trudno musiało być rządzić szeroką rzeszą tak nadmiernie uprawnionych obywateli.

Na to, jak wielką wagę dla centralizacji władzy i spoistości państwa w okresie średniowiecza posiadała zwierzchność sądowa, wskazuje uczony niemiecki prof. Hans Hirsch, autor pracy p. t.: „Die hohe Gerichtsbarkeit im deutschen Mittelalter". Zwracając uwagę na pewne jednak wkroczenia władzy królewskiej w Niemczech w odjęte jej przez panów terytorjalnych zwierznictwo sądowe, zaznacza:

„W każdym razie było to mało w porównaniu z wynikami, które osiągnęli w tymże czasie królowie Francji i Anglji, dzięki celowej rozbudowie swej zwierzchności sądowej. Jest przytem rzeczą dawno ustaloną, że w Niemczech wszystko, co miało związek z pojęciem państwa nowożytnego, w tym zakresie także zwierzchność sądowa, rozwijało się na płaszczyźnie państw terytorjalnych, w przeciwieństwie do Francji i Anglji, gdzie rozwiązanie tych zagadnień w kierunku centralizacji miało zasadnicze znaczenie dla obu tych wielkich potęg." — A w Polsce władcą terytorjalnym był każdy szlachcic. Jakże daleka stąd droga do monarchji absolutnej w stylu francuskim czy angielskim.

Pozostając na gruncie porównywania stosunków polskich z niemieckiemi przypomnijmy też, że w Niemczech prawo wyboru cesarza miało siedmiu elektorów — w Polsce zaś prawo wyboru króla miał każdy szlachcic i każdy szlachcic mógł w Polsce zostać królem!

Formą organizacyjną stanu szlacheckiego, oprócz związków rodowych, które nadały mu specyficzne znamię polskiej równości szlacheckiej, była ziemia z jej sejmikiem ziemskim i całym splotem urządzeń ziemskich.

Genezę ustroju ziemskiego wyprowadzić można z podziałów Polski dzielnicowej. Stworzyły one w zasadzie nietylko podstawę terytorjalną późniejszego podziału na ziemie, ale ponadto dały początek całemu późniejszemu życiu samorządowemu ziemi. Dawni bowiem urzędnicy książęcy w osobach wojewodów i kasztelanów utraciwszy charakter mężów zaufania księcia przekształcili się w urzędników ziemskich i poczęli reprezentować interesy nie księcia, lecz ziemi. To samo stało się z przeważną częścią całej plejady niższych urzędników grupujących się w dworach książąt dzielnicowych.

Szukając głębszych przyczyn podziału ziemskiego, można cofnąć się jeszcze bardziej wstecz do podziałów szczepowych i plemiennych najdawniejszej Polski. Coś podobnego stwierdzić można i w stosunkach niemieckich. W tej kwestji część uczonych niemieckich, idąca za H. Syblem i G. Belowem dopatruje się przyczyn rozbicia Niemiec w nieszczęsnej polityce włoskiej dawnego cesarstwa, która zmuszała cesarzy do koncesyj na rzecz czynnika społecznego za cenę dostarczania wojska i pieniędzy na wyprawy włoskie. Przeciwny obóz uczonych przyczynę rozbicia terytorjalnego Niemiec widzi jednak w tradycji odrębności szczepowych na obszarze cesarstwa. Wspomniany wyżej H. Hirsch, powołując się na polemikę znanego historyka niemieckiego Fickera z Syblem, stawia problem następująco: „Pytanie główne musi brzmieć: czy struktura narodowa niemiecka dopuszczała wogóle w tym czasie centralizację. A na pytanie to musimy w sposób zdecydowany odpowiedzieć nie. W tym samym czasie, w którym Fryderyk II i Henryk VII wydawali konstytucje stanowiące według dzisiejszego punktu widzenia podstawę praw sądowych władztw terytorjalnych Eike von Repgow wyobrażał sobie cesarstwo niemieckie jako budowę złożoną z czterech księstw szczepowych, z których każde niegdyś było królestwem. Tak głęboko tkwiło w ówczesnej niemieckiej świadomości poczucie odrębności szczepowych".

Porównując stosunki francuskie, niemieckie i polskie pod kątem widzenia spoistości ustrojowej tych krajów w wiekach średnich śledzić można skutki oddziaływania różnych cywilizacyj. Jeżeli monarchja francuska zdołała przełamać rozbicie wewnętrzne tak groźnie ujawnione w wiekach IX i X to u podstaw tej reakcji stoją niewątpliwie tradycje cywilizacji rzymskiej, która w dziedzinie ustrojowej wyrażała się w jednolitej scentralizowanej budowie państwa. Francja będąca w wiekach średnich — i po dziś dzień — główną dziedziczką cywilizacji rzymskiej najrychlej uporała się z problemem feodalnym. O wiele gorzej wyglądało to w Niemczech, gdzie tradycje odrębności szczepowych rozsadzały strukturę państwową, stworzoną przez Karola Wielkiego, odnowiciela tradycji cesarstwa rzymskiego. W Polsce tradycje odrębności szczepowo-plemiennych były również silne, i pośrednio oddziaływały też rozsadzająco na spoistość państwa pierwszych Piastów, stwarzajac naturalne warunki terytorjalne dla podziałów dzielnicowych. W Polsce jednak obok tego zaznaczyło się dobroczynne działanie elementów rodowych tkwiących w ustroju dynastji, dzięki czemu zjednoczenie wewnętrzne Polski — jak już wyżej wspomniano — mogło dokonać się o wiele rychlej niż w Niemczech.

Pozostały jednak i w Polsce tradycje odrębności szczepowych i dzielnicowych. Widomym ich wyrazem jest zasada jednomyślności obowiązująca w dawnej polskiej izbie poselskiej. Jak dawno już stwierdzono, początek wzięła ta zasada ze statutów nieszawskich z r. 1454, w których zmianę praw i przywilejów szlacheckich obowiązujących w danej ziemi uzależniono od zgody sejmiku tej ziemi. W r. 1454 statuty nieszawskie wymieniły ten punkt tylko w tekście wydanym dla Wielkopolski i dla ziemi sieradzkiej; jednak w r. 1496 jednolite statuty Jana Olbrachta rozciągnęły to postanowienie na ogół ziem polskich.

Gdy, równocześnie ze znacznem rozszerzeniem praw szlachty, ustawą nihil novi r. 1505 wyłoniony został sejm polski, utrzymała się w nim zasada, że każda ustawa dyskutowana w izbie poselskiej może stać się obowiązującą

tylko wówczas, jeżeli zgodzą się na nią wszystkie ziemie. Ziemie wyrażały swą zgodę przez usta swych posłów, którzy w izbie poselskiej reprezentowali nie naród szlachecki ogólnie wzięty lecz tylko swoją ziemię. Taka jest geneza zasady jednomyślności. Na jednomyślność patrzymy dzisiaj pod kątem widzenia późniejszego zwyrodnienia jej w liberum veto, które bynajmniej nie było logicznem następstwem zasady jednomyślności; takiem następstwem mogły być tylko obrady sejmów nie dochodzących przez czas swej kadencji do żadnej konkluzji. Tak też to wyglądało w końcu w. XVI i początku XVII, kiedy zdarzało się, że przez czas kadencji sejmu obradowano bezskutecznie nie dochodząc do żadnej uchwały. Dopiero później w toku XVII w. poczęto zrywać sejmy przed upływem kadencji w sposób nie dający się usprawiedliwić zasadą jednomyślności.

Oceniając zasadę jednomyślności na płaszczyźnie średniowiecza i w. XVI, trzeba przypomnieć, że wywodząc się z właściwego średniowieczu partykularyzmu miała pełny odpowiednik w dalej jeszcze posuniętym partykularyźmie niemieckim. Na dobro partykularyzmu polskiego zapisać ponadto trzeba, że posiadał nadbudowę w postaci jednolitej władzy królewskiej, obcej w tej formie stosunkom niemieckim.

W w. XVI Polska znajdowała się przytem na najlepszej drodze do przełamania partykularyzmu ustrojowego. Mam tu na myśli obrady sejmów za czasów Zygmunta Augusta. O ile bowiem za czasów Zygmunta Starego przestrzegano ściśle jednomyślności potęgując jej hamujące działanie zasadą instrukcji sejmiku dla posła, która utrudniała posłowi swobodne sprawowanie czynności poselskich, o tyle za Zygmunta Augusta poczęto niekiedy głosować większością głosów. Zaznaczyć jednak należy że czyniono to tylko w drodze praktyki, nie na podstawie przepisów prawa, a zatem wbrew normom prawa zwyczajowego, na którem opierała się jednomyślność. W praktyce tej dopatrywać się można tendencji idącej w kierunku centralizacji ustrojowej. Poczucie wspólności państwowej i narodowej szło zatem ku obaleniu tej reduty partykularyzmu.

Nie zwrócono dotąd należytej uwagi na związek czasowy, zachodzący między załamaniem się tej tendencji a powiększeniem izby poselskiej o grono posłów litewskich, co dokonało się ostatecznie od daty Unji Lubelskiej w r. 1569. Partykularyzm ustrojowy polski znalazł dzięki temu odpowiednik na szerokich kresach litewsko-ruskich. O wiele trudniej było na tak rozszerzonej podstawie przeprzeć program centralizacji ustroju. Nikt przecież nie będzie kwestjonował, że w obrębie polskich ziem koronnych poczucie wspólności państwowej i narodowej było o wiele silniejsze, aniżeli w zespolonem w r. 1569 państwie polsko-litewskiem.

Polska izba poselska faktycznie uległa rozsadzeniu na szereg sejmików; była właściwie zjazdem delegatów sejmików, którym nie wolno było głosować wbrew otrzymanej instrukcji, a często instrukcje te były sprzeczne. Tak to w miejsce jednolitej maszyny sejmowej wstąpiły rządy sejmikowe. Nic fałszywszego tedy od mówienia o „sejmowładztwie" w dawnej Polsce; nie znała ona sejmowładztwa, lecz wszechwładztwo rządów sejmikowych.

W rządach sejmikowych wyraziła się powrotna fala polskiego partykularyzmu ustrojowego. I od tego momentu porównanie jego z współczesnym (w. XVI—XVIII) partykularyzmem niemieckim wypada na korzyść tego ostatniego. Państewka niemieckie od końca w. XV rozwijają się w nowożytnym kierunku ustrojowym t. zn. w kierunku absolutyzmu. Rozwój ten stał się możliwy dzięki podstawie feodalnej, na której oparły się terytorjalne państwa niemieckie. Ośrodkiem ustrojowym stała się w nich dziedziczna władza książęca, biorąca początek z feodalizacji Niemiec, dokonanej u progu XIII wieku. Od tej też strony miało nadejść przyszłe odrodzenie ustrojowe Niemiec. Margrabia brandenburski, późniejszy król pruski to jeden z niemieckich panów terytorjalnych. Nie przestajemy przytem powtarzać, że udział Prus w zjednoczeniu Niemiec umożliwiony został uzyskaniem przez Prusy wpierw przewagi nad pozostałemi państwami terytorjalnemi. Tę zaś pozycję dał Prusom ich ogromny rozwój terytorjalny, dokonany kosztem ziem macierzystych Polski!

Jakże inaczej wygląda polski partykularyzm ustrojowy w w. XVI—XVIII. Dominującą nutą prawną jest w nim zasada: „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie". Brak elementów feodalnych w ustroju dawnych urzędów uniemożliwił ich mocną pozycję prawną w stosunku do mas szlacheckich. W ustroju sejmikowym z prawnego punktu widzenia wzięła górę zasada równości, biorąca początek z rodowych zalążków szlachectwa. W przeciwieństwie do hierarchicznej budowy nowożytnego partykularyzmu niemieckiego partykularyzm polski rawnie nie posiadał hierarchji.

Faktycznie bywało inaczej. Wiemy o masach szlachty czepiającej się klamki pańskiej, wieszającej się po dworach, stawiającej swe szable do dyspozycji tego lub innego z magnatów. Jest to zjawisko typowej **klienteli**, którą znamy tak dobrze z dziejów rzymskich, jak i z okresu średniowiecza. Klientela ta, jak i w pewnej mierze odpowiadający jej „comitatus" (drużyna) germański stały się jednem z rusztowań, na których w średniowieczu wzniesiono gmach struktury feodalnej.[1]) Wielki właściciel ziemski tem potężniejszy jeżeli był też urzędnikiem, to późniejszy pan feodalny, seigneur francuski, czy Landesherr niemiecki. Rzecz ciekawa, że dopiero w wiekach XVI—XVIII po powstaniu fortun magnackich na połudn.-wschodzie, wyłoniły się w Polsce warunki podobne do tych, z których wyrosła budowa świata feodalnego. Z tego wynika, jak bardzo archaicznym i stosunkowo niezłożonym był ustrój polskich rodów wczesnopiastowskich i jak dalekie były one od świata feodalnego, który powstawał na gruzach cesarstwa rzymskiego, w oparciu o latyfundja rozsadzające cesarstwo, o rzesze klientów i drużynników i o zamianę urzędów na dziedziczne.[2])

Ale też w ostatnim punkcie ów nowożytny polski „feodalizm" różni się od feodalizmu wczesnego średniowiecza. Jest wielka własność, są tłumy klijentów, brak jednak dziedzicznej pozycji w urzędzie wojewody. — Dzięki temu polski partykularyzm ustrojowy ma tyle siły, by móc rozsadzać spoistość monarchji, nie ma jednak warunków, aby zastąpić upadającą władzę królewską. Ani Michał Wiśniowiecki, ani Jan Sobieski, ani Stanisław Leszczyński nie mają prawnej pozycji królów saskiego czy pruskiego. W następstwie też w Polsce napór na władzę królewską mas szlacheckich, zbudowanych na zasadzie równości, powodował stałe słabnięcie władzy królewskiej, której żaden inny czynnik wewnętrzny nie był w stanie zastąpić.

Ostatecznie więc z różnych czynników, współdziałających w kształtowaniu się ustroju polskiego na przestrzeni długich wieków, najsilniej zaznaczyły swe działanie elementy ustroju rodowego z ich tak charakterystyczną konsekwencją: zasadą równości szlacheckiej.

Rodowe społeczeństwo szlacheckie posiadało swoje wyraźne oblicze gospodarcze, z natury rzeczy wiejskie.

---

[1]) Zjawisko klienteli tak właściwe światu rzymskiemu a później powtórzone w średniowieczu — w tej samej strukturze socjologicznej, pojawia się przed naszemi oczyma. Fustel de Coulanges, znakomity autor historji ustroju starej Francji (Histoire des institutions politiques de l'aucienne France) w t. VI swego dzieła tak charakteryzuje dojście Pepina II do urzędu majordoma, jak wiadomo pierwszego ministra i faktycznego rządcy państwa: „Nie jest on najpierw funkcjonarjuszem królewskim, który w tym charakterze stwarza grupę ludzi sobie posłusznych. Idzie drogą odwrotną. Jest najpierw naczelnikiem wiernych sobie i dopiero na tej drodze uzyskuje pozycję w pałacu królewskim". (str. 170). Czyż proces ten nie przypomina żywo drogi, którą doszedł do władzy Mussolini? Pozycja dzisiejszego króla włoskiego bardzo przypomina przytem pozycję ostatnich Merowingów. Analogję możnaby rozciągnąć i na inne kraje. Cała struktura t. zw. dzisiaj rewolucyj narodowych jest typową strukturą klienteli, drużyny czy wasalstwa. Grupa taka rozsadza istniejącą strukturę państwową, wprowadzając w jej miejsce swe własne urządzenia. Pepin II doszedł do władzy na całym obszarze podlegającym urzędowi majordoma w Austrazji, następcy jednak jego i naśladowcy rozbijali całość państwową na coraz mniejsze części; tej także tendencji zawdzięczamy między innemi średniowieczne rozbicie terytorjalne na zachodzie. W krajach zaś europejskich, w których współcześnie dokonały się rewolucje o opisanem wyżej obliczu socjologicznem, objęły one obszar całego terytorjum państwowego, stając się naturalnymi dziedzicami całej dotychczasowej tradycji państwowej i narodowej.

[2]) Wiek XVII w Polsce przypomina swem obliczem średniowiecze zachodnie nietylko dzięki „feodalnym" fortunom królewiąt ale również i powrotną falą konfederacyj i krzyżowym charakterem walk z Turkami (wyprawa pod Wiedeń!). W tej kwestji szereg trafnych uwag wypowiedział red. J. Rembieliński w odczycie pt.: „Powrót do staropolszczyzny", wygłoszonym w Poznaniu w pocz. b. r.

Nikt nie może kwestjonować, że taki właśnie charakter gospodarczy miały rody przedpiastowskie. Utrzymały go też i poprzez pierwsze wieki monarchji piastowskiej, kiedy ciągnąc pożytki z ziemi trzeba było znaczną ich część ustępować na rzecz fiskalizmu państwowego. Okres przywilejów stanowych rozpoczęty z wiekiem XIII dał rycerstwu pełną możność gospodarczego eksploatowania ziemi. Licząc od tej chwili, po krótkim, niespełna dwuwiekowym okresie oddawania ziemi w dzierżawę za czynszem, przeszło rycerstwo — w każdym razie już w wieku XV — do systemu gospodarki folwarcznej, opartej o pańszczyznę. Uzyskiwanie pozycji gospodarczej łączyło się z uzyskiwaniem wpływów na bieg spraw państwowych. Jasnem było przytem, że szlachta z chwilą, gdy uzyska pełnię władzy w państwie, poprowadzi politykę gospodarczą pod swoim kątem widzenia, tj. w myśl interesów konsumenta produktów gospodarstwa miejskiego i producenta produktów rolnych.

Cała kwestja leżała w tem, czy obok szlachty inny jeszcze czynnik społeczny uzyska wpływ na bieg spraw państwowych, przedewszystkiem więc mieszczaństwo. Tragedją Polski była tragedja polskiego mieszczaństwa. Nie zdołało ono uzyskać należytego wpływu na rządy państwem. Momentem krytycznym była chwila, od której panujący polscy poczęli jednostronnie nakładać na miasta podatki nadzwyczajne. Stało się to w XV wieku i pozostowało w diametralnej różnicy z prawami szlachty, która sama, własną zgodą, zezwalała na każdy podatek nadzwyczajny na nią nakładany. Tą drogą doszło przecież do utworzenia sejmików ziemskich a w ślad za tem do utworzenia izby poselskiej. Miasta w Polsce, utraciwszy prawo zezwalania na podatki nadzwyczajne, nie miały warunków dla wytworzenia reprezentacji stanowej, odpowiadającej reprezentacji stanowej szlacheckiej, t. j. sejmikom ziemskim. W ślad za tem nie mogły miasta otrzymać udziału w izbie poselskiej, która powstała z delegatów wysyłanych przez sejmiki. Z chwilą zaś, kiedy izba poselska ustawą nihil novi z r. 1505 otrzymała ogromny zakres władzy ustawodawczej, kwestja równowagi pomiędzy wpływem politycznym szlachty i miast na państwo została przesądzona.

Nad tym rozwojem zaciążył w pewnej mierze pierwotny niemiecki charakter miast i konflikt, który z pocz. XIV w. zaznaczył się między społeczeństwem polskiem a mieszczaństwem niemieckiem, przybrawszy tak jaskrawy wyraz w buncie wójta Alberta. Ponad wszystko jednak na losie miast w Polsce zaciążył archaizm polskiego ustroju społecznego w połączeniu z tem, że na takiem stadjum rozwoju społeczno-gospodarczego przyszło Polsce budować państwo t. zw. stanowe. Na zachodzie państwo takie powstawało na gruzach ustroju feodalnego w oparciu tak o silny czynnik rycerski jak też o tętniące życiem miasta. Do Polski koncepcja państwa stanowego dotarła jednak w tym czasie, kiedy życie miejskie budziło się dopiero, a pozbawionym konkurencji czynnikiem społeczno - politycznym było rycerstwo. Nic też dziwnego, że w Polsce państwo stanowe stało się ostatecznie państwem stanu szlacheckiego. Zaważył na biegu naszych dziejów archaizm urządzeń społeczno-gospodarczych, który splótł się z koncepcjami państwowemi urobionemi w zupełnie innych warunkach. „Historyk musi tedy sobie zadać pytanie czy nie byłoby dla Polski rzeczą lepszą, by zdala od wpływów zachodnich powoli przekształcała swe stosunki wewnętrzne, budując hierarchję społeczną i polityczną i powoli kształcąc u siebie podział pracy pomiędzy wieś i miasto. Odpowiedzieć trzeba, że było to rzeczą niemożliwą. Skoro się bowiem raz weszło w krąg oddziaływań świata cywilizacji zachodniej, musiało się podlegać jej wpływom, a pośrednio ponosić konsekwencje opóźnionego rozwoju".

Jakież rysy pozostały na skutek tego rozwoju w polskiej psychologji, w polskim charakterze? Najsilniej niewątpliwie zaciążyły tradycje równości szlacheckiej. W ślad za tem Polak jest niechętny hierarchji. Rola rządu autorytatywnego z natury rzeczy musi być trudniejsza w Polsce niż n. p. w Niemczech. Także gdy dochodzi do wyłonienia się grupy rządzącej, będzie ona miała z natury rzeczy skłonność do działania zbiorowego, a nie pod przywódcą; będzie miała tendencje raczej oligarchiczne, jak to miało miejsce z oligarchją panów małopolskich w XIV i XV wieku. Szczególne miejsce w strukturze społeczeństwa polskiego zajmuje też związek krwi, zważywszy ze proces uspołeczniania dokonywał się w Polsce w ramach związków rodowych w o wiele większej mierze niż to się działo na zachodzie, gdzie tak ogromną rolę w procesie uspołeczniania odegrały surowe normy karnego i administracyjnego prawa miejskiego. Dlatego n. p. w Polsce rozluźnienie węzłów rodziny musiałoby przynieść znacznie głębsze szkody niż gdzieindziej.

Na charakterze polskim obok tradycji równości szlacheckiej zaciążyły jednak również tradycje wielkopańskiej klienteli. Razem stwarza to dziwny czasem splot instynktów, z któremi polityk musi poważnie się liczyć tak gdy myśli o ich przełamywaniu, jak gdy zamierza budować w oparciu o nie. Rzecz ta jednak wybiega poza nasze przedstawienie sprawy.

Z. WOJCIECHOWSKI.

KRONIKA POLITYCZNA.

PAŃSTWA KORPORACYJNE.

Dwa państwa europejskie, Włochy i Austrja, przekształcają się w sposób coraz wyraźniejszy na państwa korporacyjne. We Włoszech odbyły się ostatnio wybory do parlamentu według ordynacji wyborczej z r. 1928, której zasady omawialiśmy swego czasu na łamach „Awangardy". System wyborczy polega na głosowaniu na jedną listę, ustaloną w ostatecznym składzie przez Wielką Radę Faszystowską. Wyborca może głosować za listą lub też głosować przeciw niej, przyczem całe państwo tworzy jeden okręg wyborczy.

W dniu wyborów przeszła oczywiście lista faszystowska. Przeszła jednak lepiej niż w r. 1929. Wówczas 8 519 519 wyborców głosowało „tak", a 145 853 „nie". Obecnie 10 025 513 obywateli opowiedziało się za listą, a 15 256 przeciw niej. Świadczy to, że system faszystowski w ciągu tych pięciu lat utwierdził się znakomicie i nic nie wskazuje, by mu groziło jakiekolwiek wewnętrzne niebezpieczeństwo. Również nie ujawnia się rzekome „niezadowolenie" ludności, o czem słyszy się w różnych kołach liberalnych. Inna rzecz, że dla przedwojennych parlamentarzystów wybory faszystowskie to nie są prawdziwe wybory. Ale, przyjąwszy nawet ten punkt widzenia, faktem pozostaje, że siły faszystowskie w ciągu ostatnich pięciu lat wzrosły, a nie zmalały.

Wybrana w dniu 25 marca br. włoska izba poselska będzie ostatnią, jaka urzędować będzie w tym charakterze. W najbliższym czasie ma nastąpić całkowite przekształcenie ordynacji wyborczej w duchu wybitnie korporacyjnym. Izba poselska przeistoczy się na izbę o charakterze korporacyjnym w oparciu o ustrój syndykalistyczny, tworzony we Włoszech od szeregu lat. Izba korporacyjna będzie miała zwężone kompetencje polityczne. Te przejdą w całości na senat, złożony we Włoszech z senatorów, mianowanych dożywotnio przez króla. Mussolini otaczał zawsze senat najwyższym szacunkiem. Obecnie zapewnia mu w polityce włoskiej miejsce przodujące. Sam jednak ustrój włoski będzie miał charakter korporacyjny. Będzie to pierwsza, na wielką skalę przeprowadzona próba realizacji państwa korporacyjnego jako antytezy państwa liberalnego z ubiegłego stulecia.

Bez większych przygotowań, które widoczne były we Włoszech, w tym samym kierunku zmierza Austrja, co może się tłumaczyć wpływami włoskiemi we Wiedniu. Po rozwiązaniu partji narodowo-socjalistycznej, po rozgromieniu socjalistów, nic nie stanęło na przeszkodzie, by przeprowadzić w Austrji ustrój, który odpowiadać będzie woli rządzącego stronnictwa chrześcijańsko-społecznego oraz współdziałającej z nim Heimwehry. Zasady nowej konstytucji mają opierać się na istnieniu szerokiej bardzo władzy prezydenta republiki, który będzie powoływał i usuwał członków rządu, posiadających wyłącznie prawo inicjatywy ustawodawczej. Przy rządzie w charakterze ciała doradczego obradować będzie rada stanu, złożona z 40 członków, mianowanych przez prezydenta republiki. Zamiast obecnego parlamentu funkcjonować będą trzy rady korporacyjne, a więc: federacyjna rada kultury, złożona z przedstawicieli duchowieństwa, uniwersytetów, organizacyj naukowych i artystycznych; federacyjna rada gospodarcza, złożona z przedstawicieli rolnictwa, handlu i bankowości; wreszcie federacyjna rada prowincjonalna, w której zasiadać będą delegaci Wiednia i poszczególnych prowincyj.

Władza ustawodawcza należeć będzie do Sejmu, w którym zasiadać będzie 20 członków rady stanu, 10 członków rady kultury, 20 członków rady gospodarczej i 9 członków rady prowincjonalnej. Sejm będzie mógł albo przyjąć, albo odrzucić rządowy projekt ustawodawczy. Nie będzie miał prawa wstawiać poprawek. Jedynie będzie mógł dyskutować i zmieniać z całą swobodą ustawę budżetową. W razie odrzucenia rządowego projektu ustawy przez Sejm, rząd będzie mógł odwołać się do ludno-

ści i zarządzić nad projektem ustawy plebiscyt.

Austrjacka konstytucja oznacza likwidację systemu parlamentarnego w jeszcze jednem państwie. Rzeczą ciekawą jest, że reformy ustrojowe w Austrji przeprowadzane są w duchu katolickim i w oparciu o czynniki katolickie. Kanclerz Dollfuss traci też coraz więcej sympatję w kołach liberalnych, masonizujących i lewicowych. Nie mogą mu one zapomnieć bezwzględności, z jaką zdławił ruch socjalistyczny w Austrji. Zmiana konstytucji w Austrji jest w każdym razie dowodem, że zagadnienia ustrojowe są wciąż najbardziej aktualne w życiu państw europejskich.

KTO NAJBARDZIEJ AKTYWNY?

Zawarcie paktu włosko-austrjacko-węgierskiego jest nowym dowodem aktywności rządu Mussoliniego i jego nowym sukcesem na terenie międzynarodowym. Mussolini nie wypuszcza inicjatywy ze swoich rąk, jest wciąż w ofensywie. Obserwując jego działalność oraz wogóle dynamikę poszczególnych państw w dziedzinie dyplomatycznej, trudno nie oprzeć się wrażeniu, że w Europie tylko te narody które zerwały z liberalizmem, ze skrajnym systemem parlamentarnym, z opieraniem swojej polityki na Lidze Narodów okazują dziś największą aktywność.

Kraje, skrępowane wewnątrz ustrojem demoliberalnym który wyraźnie się rozkłada (np. obecnie we Francji), głoszące wciąż wierność również bankrutującej Lidze Narodów, zorganizowanej przez masonerję, nie mogą z natury rzeczy rozwinąć działalności na szerszą skalę, wykazać w posunięciach zewnętrznych prężności i pomysłowości, do jakiej zdolne są narody, wyzwolone z obezwładniających i paraliżujących formułek i doktryn z ubiegłego stulecia, które zaciążyły nietylko nad wewnętrznem życiem, ale w końcu przedostały się do dziedziny najmniej nadającej się do tego, mianowicie do polityki zagranicznej.

Skutki tego są dziś widoczne. W każdym razie godnym zastanowienia jest fakt, które to państwa są dziś najbardziej aktywne w polityce międzynarodowej.

DLACZEGO?

List pasterski episkopatu polskiego w sprawie Legjonu Młodych wywołał szerokie komentarze w opinji polskiej. Nas zastanawia dlaczego istotnie Legjon Młodych tak usilnie podkreślał swój antyklerykalizm, a nawet antykatolicyzm. Komu to jest potrzebne i w jakim celu jest to robione?

Boć przecież nietylko Legjon Młodych stoi na stanowisku, że Polska nie może być państwem teokratycznem. Najgorliwsi nawet katolicy nie myślą o oddawaniu rządów w państwie w ręce duchowieństwa, które ma inne zadania do spełnienia. Polityka jest dziedziną, w której rozstrzygać mogą jedynie interesy danego państwa i narodu. Kościół natomiast ma na celu zbawienie duszy i z tego tylko punktu widzenia patrzy między innemi również na sprawy polityczne. To rozgraniczenie stale i umiejętnie przeprowadza również Watykan. Nie o to zatem chodzi, kto ma rządzić państwem. Państwem mogą rządzić tylko Polacy, kierując się jedynie polskim interesem.

Lecz Legjon Młodych nadał swoim poglądom piętno antyklerykalizmu bardzo starej daty, któremu we Francji hołdują jeszcze tylko zgrzybiali sekciarze radykalni. Lecz i tam manja antykościelna bardzo szybko mija i dziś już na fanatyków laicyzmu patrzy się, jak na dziwaków z ubiegłego stulecia. Antyklerykalizm staje się bardzo niemodny. Czem więc tłumaczyć jego wybuch i jego odrodzenie w Legjonie Młodych?

Nam się wydaje, że Legjon Młodych wogóle za wiele poświęca uwagi odgrzewaniu starych haseł, które minęły, które były modne przed trzydziestu laty, lecz dziś straciły wszelką atrakcyjność. Jego radykalizm społeczny, który prowadzi go aż do zerkania w stronę sowieckiego komunizmu, jego „rewolucyjność", jego „przewrotowość", wszystko to przypomina przeszłość minioną i wszystko to trąci już myszką. Nowych rzeczy Legjon Młodych prawie że nie wysuwa.

Gdyby jeszcze Legjon Młodych reprezentował kierunek opozycyjno-lewicowy w kraju, możnaby wiele wytłumaczyć. Lecz organizacja ta głosi, że jest kontynuatorką tych, którzy dziś rządzą, że chce iść ich śladami i podtrzymać tradycję legjonową. Lecz czy kto widział kontynuowanie czyjejś polityki robieniem „rewolucji" i organizowaniem „przewrotu" w chwili, gdy rządzą kierownicy tej polityki. Tkwią w tem duże, niewytłumaczalne nieporozumienia, które jednak trwają zbyt długo, a przez to mogą stać się bardzo szkodliwemi.

Co prawda, słyszy się nieraz, że Legjon Młodych, nie posiadając własnej ideologji, nie mogąc szerzyć ideologji nacjonalistycznej, chwyta się starych poglądów i propaguje je w formie skrajnej, lecz tylko ze względu na ich atrakcyjność i chęć zwrócenia na siebie uwagi. Byłaby więc to zabawa, lecz zabawa niebezpieczna i zupełnie niepotrzebna. Stawiamy więc znowu pytanie: w jakim to jest robione celu?

PUŁK. MIEDZIŃSKI O SPRAWIE ŻYDOWSKIEJ.

Ubiegła sesja sejmowa nie była zbyt korzystna dla Żydów. Mówiono o Żydach dość często, ale żadne stronnictwo polskie nie stanęło w ich obronie. Nikt dzisiaj nie chce podjąć się roli adwokata sprawy żydowskiej. Wyjątek uczynić należy dla socjalistycznego „Robotnika", który nietylko w artykule p. „imba" (podobno Żyda), lecz również p. posła Niedziałkowskiego wystąpił ostatnio dwukrotnie przeciw objawom antysemityzmu. W Sejmie wszakże socjaliści nie zajmowali się Żydami.

Natomiast wiele miejsca poświęcił im w swojem przemówieniu jeden z przywódców obozu rządowego w Sejmie p. poseł Miedziński. Mowa jego wywołała w kołach żydowskich grube niezadowolenie, a prasa żydowska wciąż do niej powracała jako do rzeczy najbardziej przykrej i nieprzyjemnej.

Lecz cóż takiego powiedział p. Miedziński? Stwierdził przedewszystkiem, że zagadnienie żydowskie istotnie w Polsce istnieje. „Łatwo byłoby tem państwem rządzić — mówił p. Miedziński — gdyby nie ten drobiazg: 30 procent mniejszości narodowych, w tem 2 700 000 Żydów".

„Jest rzeczą niezmiernie przykrą — mówił dalej p. Miedziński — że tak jest. Wolelibyśmy, żeby miasta nasze — w kraju, który nie jest uprzemysłowiony — w kraju, w którym odpływ sił, zbywających na wsi, został zamknięty przez zamknięcie emigracji — żebyśmy mieli chociaż ten odpływ do miasteczek, do rzemiosła, do handlu. Tymczasem to jest zablokowane dlatego, że miasta są zajęte przez wielką masę Żydów. Wolelibyśmy widzieć, co innego. Kiedy przejeżdżamy przez miasteczka — jak człowiek przyjrzy się dzielnicom zachodnim, tym czystym, porządnym miasteczkom, a jak przyjedzie w kieleckie, czy do jakiegoś Kałuszyna, to rzeczywiście niedobrze się robi. I każdy z nas wolałby, żeby tego wszystkiego nie było. Ale jakże na to poradzić?"

To jest pytanie, jakie w konkluzji swoich uwag w sprawie żydowskiej postawił poseł Miedziński, wywodząc, że całe zagadnienie jest „praktycznie bardzo trudne do przeprowadzenia", lecz gdyby przedstawiono „przyzwoity, europejski, godny ludzi kulturalnych, celowy program załatwienia sprawy żydowskiej, to my — jak zapewniał p. Miedziński — go przyjmiemy i zrealizujemy".

A więc dobrze. Trzymamy p. Miedzińskiego za słowo i przyznajemy, że najwyższy czas, aby wyjść z nieraz płytkiej propagandy antyżydowskiej i wyłącznego pouczania wszystkich dookoła o „niebezpieczeństwie żydowskiem", a zająć się tym problemem praktycznie i konkretnie. Czy to istotnie taka trudna sprawa? Sądzimy, że dla ludzi pomysłowych nie powinna przedstawiać się beznadziejnie. No, a piłsudczykom wiele rzeczy można odmówić, prócz pomysłowości... W braku jej nie widzimy zatem największych trudności.

Przemówienie p. Miedzińskiego, tak odmienne od oświadczeń, jakie na ten temat wychodziły z jego obozu, wywołało duże zaniepokojenie w opinji żydowskiej. A że Żydzi są nerwowi i bojaźliwi, więc zaraz dojrzeli niebezpieczeństwo w bardzo groźnych dla siebie rozmiarach.

Dowodem tego strachliwego nastroju był alarm podniesiony w prasie żydowskiej i żydofilskiej (w tem znowu w „Robotniku") z powodu wyborów zarządu Związku Syndykatów Dziennikarzy. Drobnemu faktowi pozapolitycznemu Żydzi usiłowali nadać ogromne znaczenie polityczne. Rzecz miała się w tem, że na walnem zjeździe Związku przepadła lista wystawiona przez koła masonizująco-liberalne i popierana przez Żydów, a przeszła lista, obejmująca przedewszystkiem czynniki prorządowe i narodowe. Już na walnym zjeździe Związku Syndykatów opozycja lewicowa i filożydowska podniosła z tego powodu niebywały alarm. Część dziennikarzy opuściła salę, inni poskładali aż stanowiska w Syndykacie na znak protestu. Później w „Robotniku" i w prasie żydowskiej ukazały się piorunujące artykuły na temat „sojuszu endecko-sanacyjnego", którego pierwszym przejawem miały być niewinne wybory w Związku Syndykatów.

Gdyby Żydzi byli dobrymi dyplomatami, to nie zdradzaliby do tego stopnia swoich obaw. Później istotnie przyszła u nich refleksja i zastanowienie. Lecz zamiast siedzieć cicho, zaczęli pisać judząco o „ofertach" jednych, o „odrzuceniu" tych ofert przez drugich, słowem ujawnili się w roli tego trzeciego, który w mętnej wodzie łowi ryby. Rola to bardzo nieraz korzystna i nie dziwimy się, że Żydzi chcieliby w tej pozycji utrzymać się jak najdłużej przez wywołanie jeszcze większego zamętu wewnętrznego, przez niepokojenie jednych, a denuncjowanie drugich. Ale pozwolimy sobie tu zauważyć, że rola tych „trzecich" jest ryzykowna: łatwo można dostać po palcach.

W każdym razie reakcja przemówienia p. Miedzińskiego w opinji żydowskiej była bardzo ciekawa i zastanawiająca. Warto śledzić nadal te sprawy.

WIELKI WSCHÓD A ŻELAZNA GWARDJA.

Uwolnienie 49 członków Żelaznej Gwardji, rumuńskiej organizacji nacjonalistycznej i antysemickiej, w procesie o zamordowanie premjera rumuńskiego Duci, a skazanie tylko bezpośrednich sprawców zbrodni, wywołało wszędzie dość silne wrażenie. Wyrok zrozumiano powszechnie jako niezwykle korzystny dla rozwiązanej organizacji Żelaznej Gwardji, natomiast dopatrzono się w nim potępienia

przez sąd polityki rządu liberalnego w stosunku do ruchu nacjonalistycznego. Ogólnie też przewidują, że na skutek tego wyroku wzmoże się w Rumunji kampanja nacjonalistyczna, co może dać powód do znacznych przeobrażeń w tem państwie, zwłaszcza, że powszechnie wiadomo, iż zarówno w otoczeniu młodego króla Karola II, jak i w wojsku znajdują się czynniki, sprzyjające ruchowi nacjonalistycznemu.

Ale sprawa ta ma jeszcze inne tło. Obozowi liberalnemu w Rumunji, który poniósł taką porażkę, nacjonaliści zarzucają utrzymywanie kontaktu z kołami wolnomularskiemi i wielkokapitalistycznemi oraz finansowo-żydowskiemi. Jest on pozatem na terenie Rumunji najskrajniejszym wyrazicielem polityki frankofilskiej. Przyczem „frankofilizm“ ten nie ma być wyłącznie wyrazem zrozumiałych interesów państwa, ale skutkiem wpływów ukrytych i tajnych.

Jest powszechnie wiadomo, jak wielką rolę w polityce francuskiej, nietylko wewnętrznej, ale i zewnętrznej, odgrywają siły ukryte. Mówi się np. powszechnie, że ostatnia rewolucja w Hiszpanji przeciw systemowi Primo de Rivery, uchodzącemu nota bene za zwolennika Włoch i faszyzmu, odbyła się nie bez współudziału lóż francuskich, które tą drogą rozciągnęły wpływy swoje w Madrycie. Można przypuszczać, że podobne manewry odbywają się również w innych państwach. Mają one na celu przedewszystkiem uformowanie życia wewnętrznego danego narodu według masońskiej recepty, zachwalają oczywiście system opierający się na liberaliźmie narodowym, a dopiero w konsekwencji wysuwają wiązanie się z Francją. Działając pod pokrywką sojuszy politycznych, masonerja francuska organizuje sojusz nietyle narodów wolnych i mających wspólne interesy, co sojusz „demokracyj“ europejskich pod egidą demokracji (czytaj masonerji) francuskiej. Otóż byłoby rzeczą szkodliwą, gdyby „frankofilizm“ i wogóle tak cenna i niezbędna przyjaźń z Francją, z jej wspaniałą cywilizacją i jej myślą polityczną, sączyła się do zainteresowanych narodów za pośrednictwem lóż.

Jeśli chodzi o Rumunję, to ostatnie wypadki dały dużo do myślenia. Zdumiewało np. zaangażowanie się pewnych kół francuskich w obronie liberałów rumuńskich, jak również pewne zdziwienie musiało wywołać gwałtowne oburzanie się spokojnych nawet organów francuskich na „antysemitów“ rumuńskich, którym zarzucano nietylko sympatje dla faszyzmu i hitleryzmu, ale wręcz germanofilizm oraz włochofilizm i domagano się dla nich najsurowszej kary i represyj. I dziś się już mówi, że ewentualne zwycięstwo nacjonalistów rumuńskich spowoduje zmianę w polityce zagranicznej Rumunji. Są to przypuszczenia dość dowolne, a wynikają z pomięszania uzasadnionych interesów poszczególnych państw, które winny wyrażać się w polityce, ze specjalnemi celami masonerji.

Te spostrzeżenia stały się aktualne w związku z wypadkami rumuńskiemi. Czy wyrok tak korzystny dla Żelaznej Gwardji miał jaki związek z kompromitacją i załamaniem się masonerji francuskiej w związku z aferą Stawiskiego, to trudno narazie stwierdzić. Ale „zbiegi okoliczności“ są rzadsze w historji niż się naogół przypuszcza.

O UDZIAŁ WIELKOPOLSKI W ŻYCIU PAŃSTWOWEM.

W dniu 7 kwietnia br. na ratuszu poznańskim odbywało się śniadanie na cześć ks. prałata Antoniego Stychla, proboszcza Kolegjaty Farnej w Poznaniu, a b. zasłużonego posła do parlamentu niemieckiego oraz Sejmu i Senatu polskiego, z racji 75 rocznicy jego urodzin i 40-lecia jego owocnej pracy społecznej. Przy deserze zabrał głos prezydent miasta Poznania Ratajski, który, podnosząc zasługi ks. prałata Stychla oraz działaczy wielkopolskich w walce z niemczyzną czasu niewoli, powiedział m. in.:

„Różnili się Polacy przy odbudowie państwa środkami działania. Wielkopolanie wybrali, stosownie do przewagi sił po stronie wroga, pracę pokojową, i tą drogą doszli do pełnego zwycięstwa narodowego.

„Mają pełne zadowolenie, gdy widzą, że Wielkopolska, ze stolicą Poznaniem, jest najrdzenniej polską i społecznie najzdrowszą dzielnicą Rzeczypospolitej Polskiej. Nie odgrywa jeszcze w państwie polskiem roli politycznej, przynależnej jej z racji dzielnicowego starszeństwa czy napięcia poczucia narodowego. Należy to przypisać raczej zbyt wielkiemu poczuciu odpowiedzialności kierowników jej, niż ich nieudolności.

„Daję wyraz nadziei, że młodsze pokolenie, wychowane w duchu tradycji wielkopolskiej, o mocnych charakterach i woli niezłomnej, liczniej, niż dotychczas, stanie do warsztatu twórczej pracy państwowej, zajmując czołowe miejsca w hierarchji rządzącej. Niechaj się wzoruje na pracy mężów, którzy tak chwalebnie przyczynili się do odrodzenia ludu wielkopolskiego, i stanie się godną wielkiej przodków ofiary“.

Sądzimy, że prezydent Ratajski słusznie i trafnie wysunął postulat zdobycia dla Wielkopolski należnego jej miejsca w życiu państwowem.

Z życia umysłowego.

RASA W POLITYCE.

Książkę Karola Stojanowskiego pod tytułem: „Rasizm przeciw Słowiańszczyźnie“,*) otrzymałem w Berlinie z miłym i uprzejmym dopiskiem autora „na pamiątkę pierwszego w Polsce odczytu o rasiźmie“. Ten odczyt autor wygłosił jeszcze w roku 1929 w cyklu pogadanek, odbywających się swego czasu w mieszkaniu piszącego te słowa, w Poznaniu. Poruszano na nich zwykle tematy aktualne, śledzono nowe zagadnienia i objawy, starano się — w miarę możności i sił — znaleść świeży, współczesny stosunek do zagadnień życia politycznego, społecznego i kulturalnego. O rasiźmie wówczas nikt poza kołami, które ten ruch w Niemczech przygotowywały, nie wiedział. Nie zajmowała się nim nawet prasa niemiecka. A już poza Niemcami były to wogóle rzeczy w kołach politycznych nieznane. Kpiono sobie wówczas również z hitleryzmu a poczęści uważano, że wogóle nim się nie warto zajmować. Gdy w roku 1924 piszący te słowa był kilka tygodni w Berlinie i zdradzał zainteresowanie tym ruchem, starając się o nim czegoś dokładniejszego dowiedzieć i poznać odnośną literaturę, spotykał się zwykle z pokrywanym uprzejmością uśmiechem, wyrażającym w grzeczny sposób niewypowiedziane słowa: Ten człowiek zajmuje się głupstwami. Było to właśnie po nieudanym puczu Hitlera w Monachium z roku 1923. Całą tę sprawę uważano za ostatecznie skończoną. Potężna prasa liberalna w Niemczech tłumaczyła to światu jeszcze czas bardzo długi, ostatni raz jeszcze w roku 1932, gdy, mimo wielkiej już potęgi ruchu hitlerowskiego, powierzchownym obserwatorom wydawało się, że przeszedł on zenit swego rozwoju i zacznie się chylić ku upadkowi albo w najlepszym razie, odgrywać będzie rolę wiecznej opozycji.

Dzisiaj hitleryzm rządzi w Niemczech niepodzielnie. A w hitleryźmie olbrzymi wpływ jako pierwiastek światopoglądowy wywierają również na politykę praktyczną i wogóle w każdym kierunku teorje rasowe. Są one istotną częścią składową tego ruchu, na co piszący te słowa systematycznie wskazywał w korespondencjach berlińskich, ogłaszanych w „Kurjerze Poznańskim“ i „Gazecie Warszawskiej“. Tembardziej jest rzeczą konieczną dokładne zapoznanie się z rasizmem dla każdego, kto chce zrozumieć dzisiejsze Niemcy i wiedzieć, kto jest partnerem jego kraju w wielkiej grze polityki międzynarodowej.

Autor „Rasizmu przeciw Słowiańszczyźnie“ zetknął się z ruchem rasowym w Niemczech, jak sam pisze w przedmowie, na terenie pracy naukowej, opracowując prehistoryczne stosunki antropologiczne północnej Europy, i badając potem antropologiczne stosunki Wielkopolski. Jest jego dużą zasługą, że zrozumiał on odrazu nietylko naukowe, ale przedewszystkiem również polityczne znaczenie niemieckiego ruchu rasowego. Moment ten uwydatnił on już przed laty w wspomnianym odczycie, wygłoszonym w nielicznym stosunkowo kole; rzecz tę godzi się dzisiaj przypomnieć, gdy staje się ona powoli rzeczą znaną i uznaną.

Książka Stojanowskiego posiada, jak to wynika już z jej tytułu, duże zacięcie polityczne. Jest to praca, mimo jej naukowego opracowania, w pełnem tego słowa znaczeniu aktualna, pisana barwnie, wywodząca się bezpośrednio z życia. Autor zajmuje wobec wyników swoich badań stanowisko polityczne, wyciąga z nich wnioski, wskazuje na niebezpieczeństwa, odważa wartość i znaczenie ruchu rasowego nietylko z punktu widzenia naukowego, ale właśnie daje jego ocenę jako pierwiastka, grającego dużą rolę w życiu politycznem i społecznem. Jest to stanowisko ciekawe i słuszne. Niemiecki ruch rasowy, oświetlany wyłącznie z punktu widzenia naukowego, mógłby ulec fałszywej ocenie jako siła dynamiczna, działająca w życiu narodu niemieckiego i wywierająca bezpośredni albo pośredni wpływ również poza granicami Niemiec, chociażby za pośrednictwem polityki niemieckiej.

Stojanowski daje nam przedewszystkiem krótką, ale źródłową historję ruchu rasowego wogóle, stwierdzając, że pierwszych jego początków należy szukać w dyskusjach między poligenistami i monogenistami, to znaczy zwolennikami poglądu w nauce antropologji, że poszczególne rasy ludzkie pochodzą nie od jednej pary rodziców, a wyznawcami poglądu, że wszystkie rasy ludzkie z jednego się wywodzą pnia. Pierwszy pogląd zawierał w samem swojem założeniu naukę o nierównej wartości ras ludzkich.

Spór ten w praktyce wygasł na korzyść poglądu monogenistycznego, i dopiero Gobineau otworzył nowy, współczesny rozdział ruchu rasowego przez napisanie książki o nierówności ras ludzkich. Aczkolwiek Gobineau był Francuzem, dzieło jego wywarło wpływ nie we Francji, ale w Niemczech. Przyswojenia jego tez w Niemczech dokonał Ludwik Schemann, za nim pojawili się Otto Ammon i Ludwik Woltmann. Znany jest wpływ, który wywarła książka Chamberlaina „Die Grundlagen

*) Dr. Karol Stojanowski: Rasizm przeciw Słowiańszczyźnie, Poznań 1934 — Nakładem Głosu.

des XIX Jahrhunderts“. Po wojnie ruch rasowy odżył w całej pełni. „W odróżnieniu od poprzednich poczynań — pisze autor — mających charakter naukowy i teoretyczny, powojenny okres cechuje przedewszystkiem zorganizowana działalność praktyczna. Czyni ona z ruchu nordycznego, bo tak się ten ruch nazwał, specyficzny ruch społeczno-polityczny. Naukowym chorążym i interpretatorem tego kierunku jest Hans Günther, profesor antropologji społecznej w uniwersytecie jenajskim.“

Za daleko zaprowadziłoby nas streszczanie książki autora. Zawiera ona następujące rozdziały: 1) Przyczyny słowiańskich strat. 2) Wyniki wojny światowej. 3) Geneza ruchu rasowo-eugenicznego. 4) Niemiecki ruch nordyczny. 5) Ruch rasowy w świetle nauki. 6) Dążenia społeczne rasistów. 7) Tendencje polityczne ruchu rasowego. 8) Religja nordyczno-germańska. 9) Obosieczność rasizmu. 10) O postawę wobec rasizmu.

Samo wyliczenie tytułów daje najlepszy obraz treści. Na uwagę zasługuje to, co autor pisze o tendencjach do rozprzestrzeniania się ruchu rasowego poza granice Niemiec i wynikających stąd niebezpieczeństwach dla narodów, sąsiadujących z Niemcami. Wiemy z doświadczenia, w Niemczech bardzo świeżego, że nawet pozorne utopje trzeba nieraz śledzić uważnie, ażeby na czas i właściwe zająć wobec nich stanowisko. Mit „Rzeszy pannordycznej“ nie jest wcale tak niewinny, jakby to się niejednemu mogło wydawać. Jest to — jak powiada autor — „idea godna naprawdę dwóch wielkich idei politycznych t. j. cesarstwa rzymskiego narodu niemieckiego i Mittel-Europy, które przecież kosztowały tyle krwi zarówno Niemcy jak też ich sąsiadów, no i rządziły niemiecką historją długie lata. Mam wrażnie, że właśnie ta rzesza pannordyczna jest to dopiero hitlerowska trzecia rzesza“.

Bardzo interesujące są wywody autora na temat obosieczności rasizmu. Uznaje on w pełni wartość tej idei jako motywu działającego w życiu politycznem i społecznem, a zwłaszcza też jej wartość dla Niemiec. Nie zamyka jednak wcale oczu nietylko na jego niebezpieczeństwa dla narodów ościennych, o czem wspomnieliśmy, ale również na niebezpieczeństwa rasizmu jako takiego w życiu wewnętrznem narodów. Rozumowanie jest tu bardzo proste: Niema narodów rasowo jednolitych. Istnieje więc zawsze niebezpieczeństwo, że teorja rasowa, stosowana bardzo bezwzględnie, może zamiast spajać, działać rozjątrzająco na dany naród, budzić antagonizmy między odłamami rasowemi, uważanemi jako wartościowsze i dlatego uprzywilejowanemi, a innemi odłamami. Rasizm — innemi słowy — może się stać również klinem, a nie cementem. Interesujące są tu zwłaszcza uwagi, dotyczące składu rasowego wschodnich Niemiec, gdzie jest przecież tak dużo krwi słowiańskiej. A nuż ona się odezwie — rzuca pytanie autor. „Krew — powiada — to jest wielka moc. Niemiecki ruch rasowy ją zbudził, ale czy Niemcy potrafią ją opanować i skierować do swego łożyska, to pokaże dopiero przyszłość, i to może nawet nie tak daleka.“

Autor stwierdza, że w sferach rasistów zaczynają sobie z tego zdawać sprawę. Od siebie dodamy na podstawie znajomości stosunków niemieckich, że nawet w samym ruchu hitlerowskim powstały z powodu teoryj rasowych pewne nieporozumienia. Zdarzały się wypadki, że członkowie S. A. nie należący do rasy nordyckiej, n. p. tak często w Bawarji ciemni bruneci, zgłaszali się do lekarzy swoich zmartwieni głęboko swoją rzekomą niższością i nie widzący, jak z tego swojego konfliktu wewnętrznego wybrnąć. Pojawiły się też już w tym kierunku uspokajające oświadczenia odnośnych czynników w pismach hitlerowskich. Zresztą, co tu długo gadać. Kto spojrzy na czarne jak noc oczy Goebbelsa albo na Komisarza Rzeszy dla Sprawiedliwości i przewodniczącego Akademji dla Niemieckiego Prawa bruneta ministra Franka, i wielu innych wybitnych hitlerowców, ten musi sobie uświadomić, że rasowa teorja nordycka (włosy blond, niebieskie oczy i głowy podłużne) zastosowana b e z k o m p r o m i s o w o, musiałaby właściwie rozbić nawet ruch hitlerowski. Kto wie, czy pewne, może nawet nieświadome przeciwieństwa między niektórymi przywódcami ruchu nie mają tego podłoża. To też w praktyce ruchu hitlerowskiego posiada ona pewne stonowania i rodzaj interpretacji. Piszący te słowa zbiera już od jakiegoś czasu na ten temat ciekawe materjały. Sam Hitler w swojej książce „Mein Kampf“, stając w pełni na gruncie rasowym, znajduje bardzo ostre słowa dla rozmaitych „teoretyków“ i manjaków. Z teorją rasową może się jednak w tych warunkach zdarzyć bardzo łatwo, że stosowana w samych Niemczech bez najmniejszego kompromisu wobec Żydów, a zresztą pod wpływem rozumnych czynników decydujących stosowana trzeźwo, to znaczy z pilnem baczeniem na jej niebezpieczeństwa wewnętrzne, mogłaby ona właśnie jako artykuł eksportowy ujawnić w pełni swoje niszczące działanie u sąsiadów. Każdy twórca zna dobrze swoje dzieło i umie uniknąć jego niebezpieczeństw łatwiej, niż bezkrytyczny i ślepy naśladowca.

Dlatego w pełni stoimy na stanowisku autora, że na eksport niemieckiej teorji rasowej należy patrzeć, nie przeoczając jej dobrych stron, z bardzo krytyczną uwagą. W tej postaci, w jakiej ona się pojawiła w Niemczech, jest ona dla nas wogóle nie do przyjęcia. Jest to teorja ściśle niemiecka i niemieckim celom służąca. Świadczy to dobrze o samodzielności myśli autora, że potrafił bardzo wnikliwie spojrzeć w głąb zagadnienia, spostrzec trafnie i objektywnie istotne jego cechy i wyciągnąć odpowiednie wnioski.

JERZY DROBNIK.

ZAGADNIENIE KULTURY.

O d c z y t d r. S u c h o d o l s k i e g o.

Znakomity choć tak młody teoretyk kultury, dr. B o g d a n S u c h o d o l s k i wygłosił w Poznaniu w pierwszych dniach marca odczyt[1]), poświęcony rozważaniom nad istotą kultury i nad niebezpieczeństwami, na które współcześnie jest ona narażona. Odczyt ten, dzięki głębi ujęcia jak i czarowi słowa i dykcji prelegenta był czemś niecodziennem w życiu umysłowem każdego z licznie zebranych słuchaczów. Wykład nie przerażał ogromem wiedzy i erudycji, nie przytłaczał balastem filozoficznym. Był wynikiem gruntownych przemyśleń i głębokiego spojrzenia na rzeczywistość współczesną.

Osobiście odczuwałem, co potwierdzili także inni słuchacze, z którymi dzieliłem się później wrażeniami, że wiele moich sądów o sprawach poruszonych przez prelegenta pogłębia się, wiele niejasno zarysowanych znajduje swój właściwy wyraz i rozwinięcie i że wszystkie łączą się harmonijnie ze sobą w jeden konstruktywny pogląd. Nic też dziwnego, że myśl chętnie powraca do wywodów prelegenta.

— — — — — — — — — —

Kulturę można dwojako pojmować. Jako wytwór konieczności dziejowej, wytwór przyrody i bytu niezależny od woli ludzkiej. Albo też jako wytwór pracy ludzkiej zależny od człowieka, a wtenczas rozwój kultury uzależnia się od wysiłku ludzkiego.

Istota kultury charakteryzuje się, zdaniem Suchodolskiego, u m i a r e m w d z i a ł a n i u i r ó w n o w a g ą między dziedziną przeżyć wewnętrznych i rozwoju wewnętrznego tak moralnego, jak i umysłowego czyli kulturą subjektywną a dziedziną wytworów kultury będących poza człowiekiem czyli kulturą objektywną. Niema kultury bez u m i e j ę t n o ś c i w s p ó ł ż y c i a. Prawdziwa kultura cechuje się w i a r ą w wartość, wiarą w wartość tego, co człowiek stwarza i co stworzyć może i przez to daje kultura życiu właściwy sens i staje się jego usprawiedliwieniem.

— — — — — — — — — —

Głęboka była analiza niebezpieczeństw, które grożą obecnie deprawacją poszczególnym cechom i przejawom kultury.

Każdy przerost jednej dziedziny życia kulturalnego ponad istotne potrzeby oddziałuje destruktywnie na rozwój kultury, bo odbywa się kosztem innych dziedzin. Szkodliwy więc jest przerost działalności nauki i zbyt przemożny jej wpływ na życie (scientyzm). Szkodliwy jest przerost sztuki i myślenia kategorjami piękna i brzydoty tam, gdzie stosować trzeba kryterja dobra i zła (estetyzm). Wielce ujemnie oddziaływać musi na kulturę przerost gospodarki i przerost jej znaczenia w życiu. Niesie on z sobą d e g e n e r a c j ę p o t r z e b k u l t u r a l n y c h, które poczynają się dostosowywać niewolniczo na zasadach ekonomji do rynku światowego jako wytwórcy, k u l t u r a k o m e r c j a l i z u j e s i ę i twórczość podle-

[1]) Szereg myśli i poglądów, które weszły w skład odczytu rozwijał już autor poprzednio na łamach „Myśli Narodowej“, „Pionu“ i innych pism.

Polska musi być krajem

SPRAWIEDLIWOŚCI SPOŁECZNEJ

gać zaczyna prawom podaży i popytu. Wytwarza się nie to, co leży w linji potrzeb wewnętrznych twórcy i nie to, co jest czynnikiem kształtującym w duszy ludzkiej, lecz to, co popłaca, schlebia gustom mas i przynosi największej dochodów. Przerost znaczenia gospodarki niesie z sobą przesadną apoteozę pracy, którą wysuwa jako jedyny miernik społecznej i duchowej wartości człowieka, a dalej niesie kult dobrobytu, a bogactwo jako ideał społeczny wpływa źle na kształtowanie się ducha ludzkiego i obala właściwą hierarchję wartości.

— — — — — — — — — —

Technika współczesna prowokuje kulturę przez łatwość wytworzenia wytworów kultury. I ten produktywizm kulturalny wytwarzając nadmiar produkcji jest powodem dyletantyzmu w przyswajaniu jej sobie przez współczesnego człowieka. Stosunek konsumenta do dzieła sztuki przestał być naogół współtwórczy, na przeżycie wewnętrzne niema już czasu, bo nie pozwala na to tempo życia, już jutro ukażą się przecież nowe książki, z któremi także trzeba będzie się zapoznać.

Technokracja jako przerost wiary w technikę i przenoszenie sposobu myślenia kategorjami wytworzonemi przez tę wiarę z innych dziedzin życia do zagadnień kultury jest objawem dziś bardzo powszechnym, a zarazem szkodliwym. W technice wszystko, co nowsze jest lepsze i oznacza postęp, w dziedzinie kultury mowy być o tem nie może. Technika upaja nas, bo pozwala nam panować nad przyrodą, a tymczasem istotą kultury subjektywnej bez której niema kultury objektywnej, jest opanowanie świata wewnętrznego. Technika jest wrogiem wszelkiego pogłębiania i wprowadza prawo konstrukcji do życia duchowego o ładzie struktury, wykazuje tendencję do upraszczania i powierzchowności.[2])

— — — — — — — — — —

Mówiąc o kulturze jako umiejętności współżycia, wypowiedział się w pewnej chwili Suchodolski przeciw idei jakiejkolwiek rasowej wyższości czy też nienawiści. Nie rozwinął bliżej tej jedynej może aktualnej uwagi swego referatu. Przypuszczać należy, że chodziło mu o ideę rasizmu w ujęciu niektórych sfer hitlerowskich. Jest to stanowisko zgodne całkowicie z poglądem nacjonalizmu polskiego, sformułowanem już przed wieloma laty przez Dmowskiego w „Myślach nowoczesnego Polaka" i przez Balickiego w „Egoiźmie narodowym". Nacjonalizm stojąc na gruncie współżycia z życiem własnego narodu i podporządkowania jego interesom nie pociąga za sobą nienawiści do innych narodów i głoszenia jakiejś wyższości swego narodu. Przeciwnie u podstawy jego poglądu na świat leży zrozumienie, że istnieje wiele narodów o różnej kulturze, różnej strukturze psychicznej i społecznej, a z tego wyrasta szacunek dla obcego narodu choćby wrogiego, który ma tak samo jak i my prawo do własnego samoistnego życia i rozwoju kulturalnego. Nacjonalizm ceni to prawo i nie uznaje zrzeczenia się go na rzecz jakiejś abstrakcyjnej ludzkości, która jest jedynie pojęciem uogólniającem, ani też na rzecz innego narodu.

— — — — — — — — — —

Zdaniem Suchodolskiego istniały dotąd dwie sprzeczne koncepcje w pojmowaniu roli jednostki ludzkiej. Jedna uważała jednostkę jako materjał, którym operuje historja i jej konsekwentny rozwój. Jest to koncepcja przytłaczająca jednostkę. Druga traktowała jednostkę jako wolną, a wchodzącą jedynie w celu polepszenia warunków materjalnych we współżycie z innemi jednostkami. Obydwie te koncepcje obalają podstawy kulturalne współżycia społecznego, bo za takie nie można przecież uważać ani przymusu ani interesu. Obecnie istnieją próby znalezienia głębszych podstaw łączenia się ludzi z sobą.

Szkoda, że Suchodolski nie omówił tego właśnie zagadnienia szerzej. Szkoda, że mówiąc krócej lub dłużej o kulturze jako o stosunku do Boga, stosunku do przyrody i do sztuki nie oświetlił dłużej i głębiej kultury jako stosunku do zbiorowości. Musiałby tutaj omówić w pierwszym rzędzie stosunek do narodu jako do najważniejszej formacji dziejowo-kulturalnej i stosunek jednostki do narodu.

Niemniej jednak podzielić się tu muszę przeświadczeniem, któremu nie mogłem się oprzeć podczas całej prelekcji Suchodolskiego, że cały sposób ujmowania przez niego zagadnienia kultury jest z głębi narodowy, zgodny z poglądem na świat i pojęciami nacjonalizmu.

JANUSZ MAKOWSKI.

2) Dokładniej niż w referacie rozwinął myśli te dr. Suchodolski w artykule pt. „Oskarżenie techniki". Pion 1934, nr. 8.

Z życia młodzieży akademickiej.

WYMOWA WYBORÓW AKADEMICKICH.

W ciągu ostatnich kilku tygodni odbyły się we wszystkich środowiskach wybory nowych władz w czołowych organizacjach samopomocowych i naukowych polskiej młodzieży akademickiej. Ich wyniki są niezwykle interesujące choćby z tego względu, że rok ostatni był okresem szczególnie wytężonej ofensywy, prowadzonej przeciw organizacjom narodowym na wyższych uczelniach — nadto zaś dlatego, że wybory tegoroczne przeprowadzone zostały po raz pierwszy według przepisów nowej ustawy o stowarzyszeniach akademickich, wprowadzającej pięcioprzymiotnikowy system głosowania.

Wybory raz jeszcze zadały kłam wszystkim twierdzeniom sfer masońskich i masonizujących, jakoby poglądy narodowe młodzieży akademickiej były wyrazem jakiejś sprytnej „machy" czy demagogji partyjnej. Okazało się raz jeszcze, że postawa ideowa naszej młodej inteligencji ma źródła o wiele głębsze i że wszelkie próby złamania jej czyto przez represje, czy kaptowanie korzyściami natury materjalnej, są zgóry skazane na niepowodzenie. Mowa naturalnie o przeważającej większości młodzieży — boć oczywiście zawsze znajdzie się pewna liczba jednostek, które bądź pójdą za głosem interesu osobistego, bądź nawet z przekonania wyznawać będą odmienne poglądy.

Że jednak oblicze dzisiejszej młodzieży akademickiej jest naogół ideowo jednolite, o tem ponad wszelką wątpliwość świadczą cyfry.

W Warszawie lista narodowa w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego zdobyła w wyborach nowych władz „Bratniej Pomocy" ponad 80% wszystkich głosów, na politechnice zaś prawie 70%. Zwyciężyła również młodzież narodowa w ogromnej większości kół naukowych uniwersytetu, politechniki, S. G. G. W., nadto w „Bratniej Pomocy" Wyższej Szkoły Dziennikarskiej. Jedynie w Szkole Nauk Politycznych większością kilkunastu głosów przeszedł zarząd, złożony z przedstawicieli „Legjonu Młodych" (przy wyborach przewodniczącego zebrania większość ta wynosiła zaledwie 1 głos). W innych organizacjach akademickich stolicy wybory się jeszcze nie odbyły.

Pełne zwycięstwo odniosła młodzież narodowa na wyższych uczelniach Lwowa. Na uniwersytecie i politechnice listy narodowe prze-

szły „en bloc" bez głosowania, list innych bowiem wogóle nie zgłoszono z powodu braku szans wyborczych. W Akademji Medycyny Weterynaryjnej doszło zato do głosowania, przyczem lista narodowa uzyskała 12, lista „sanacyjna" — 5 mandatów.

W Poznaniu w wyborach władz „Bratniej Pomocy" uniwersytetu liście narodowej przypadły 22 mandaty na ogólną liczbę 34. Cyfra ta byłaby jeszcze wyższa, gdyby nie fakt, że w r. b. wysunięta została osobna lista „centrowa", którą popierało parę organizacyj o charakterze naogół narodowym.

W kołach naukowych uniwersytetu poznańskiego listy narodowe przeważnie przeszły w całości bez głosowania — wobec braku innych list.

Korzystnie również wypadły wybory dla młodzieży narodowej na uniwersytetach wileńskim i lubelskim.

Jedynie we władzach „Bratniej Pomocy" uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie młodzież narodowa nie będzie wcale reprezentowana. Stało się to dlatego, że lista narodowa z przyczyn natury formalnej nie została zatwierdzona, wskutek czego nie mogła wcale stanąć do rozgrywki. Że jednak i w Krakowie młodzież narodowa ma silną pozycję, o tem świadczy jej zwycięstwo w „Wzajemnej Pomocy Medyków" i w szeregu innych organizacyj akademickich, także na Akademji Górniczej. W „Bibljotece Słuchaczy Prawa" narodowcy nie zdobyli wprawdzie większości, ale bądźcobądź dostali największą ze wszystkich list polskich liczbę głosów i mandatów.

Taki jest — w dziedzinie ideowej — stan rzeczy na wyższych uczelniach i taką też będzie przyszłość Rzeczypospolitej. Czas byłby, by wszyscy wreszcie zdali sobie z tego sprawę.

Z prasy młodych.

O SCALENIE RUCHU MŁODYCH

Wychodzący w Poznaniu tygodnik „Szczerbiec" wystąpił w nrze 2-gim z 25 marca br. z artykułem pt. „Trzy kierunki". Autor artykułu p. As omawiał w nim sprawę trzech rzekomych kierunków w ruchu młodych. Uwagi wypowiedziane w tym artykule na temat Zw. Młodych Narodowców wywołały replikę, ogłoszoną w tygodniku ZMN — „Czuwamy" z dnia 8 kwietnia br.

W następnym numerze „Szczerbca" sprawa postawiona jest już inaczej. W artykule wstępnym zatytułowanym „O wspólny front" p. Michał Howorka oświadcza się za dążeniem do scalenia ruchu młodych.

„Dziś staje pytanie wobec „młodego ruchu" — czytamy w tym artykule — gdziekolwiek on by był, bez względu na różnice taktyczne, co będzie z nami. Młody ruch albo się rozproszkuje i wzajemnem ścieraniem się będzie tracił czas... albo nastąpi scementowanie tegoż w jedną całość.... Z tych przyczyn należy usuwać różnice między młodymi, bo musi przyjść chwila, w której musi powstać wspólny front młodych".

Z podobnym programem wystąpił także tygodnik „Czuwamy" w następnym swoim numerze. W artykule redakcyjnym pt. „Scalanie ruchu młodych" czytamy:

„W ostatnim numerze pisma naszego odparliśmy zarzuty, zamieszczone w artykule, ogłoszonym w tygodniku „Szczerbiec", a poruszającym sprawę trzech rzekomych kierunków w ruchu młodych.

„Ogłosiwszy odpowiednie wyjaśnienie zamierzamy obecnie dodać, że wedle naszego mniemania celem, do którego młodzi powinni dążyć, winno być s c a l e n i e i c h r u c h u.

„W Polsce, licząc od daty powstania Obozu Wielkiej Polski, rozpoczęło się wielkie organizowanie sił narodowych. Objęło ono pokolenia starszych i młodszych, nadewszystko jednak rozciągnęło się na pokolenie młode. Można powiedzieć, że młoda, narodowo gorąco czująca Polska, to Polska wywodząca swój rodowód z haseł O. W. P.

„Ramy organizacyjne O. W. P. zostały zerwane przez rozwiązanie tej organizacji. Pozostały jednak liczne kadry młodych, które poczęły poszukiwać innych i różnych form organizacyjnych.

„Wierzymy głęboko, że siła idei narodowej, przejęcie się nią przez liczne szeregi młodego pokolenia zaważy na biegu dziejów Polski w latach najbliższych. Stanie się to jednak tem prędzej, im rychlej scali się i skupi młode pokolenie.

„Wypowiedzenie tych słów uważamy za nasz święty obowiązek. Pamiętać bowiem trzeba, że jak z jednej strony organizacja Obozu Wielkiej Polski na ziemiach zachodnich była w istocie samodzielną organizacją młodego pokolenia, tak z drugiej najbardziej bezpośrednim jej następcą jest Związek Młodych Narodowców. W Ruchu Młodych Obozu, a obecnie w Związku Młodych Narodowców wyraziła się najsilniej myśl ideowa i organizacyjna młodego pokolenia i dlatego też uważamy za swój obowiązek wskazanie z naszej właśnie strony na konieczność dążenia do scalenia form organizacyjnych młodego ruchu.

„W s ł o ń c u w i o s n y d u m n i e p o w i e w a s z t a n d a r o b o z o w y: r a m i ę p r z y r a m i e n i u n i e c h i d z i e m ł o d e p o k o l e n i e k u W i e l k i e j P o l s c e!"

Redaguje Komitet redakcyjny.

AWANGARDA ukazuje się w połowie każdego miesiąca. PRENUMERATA roczna zł. 5.—, półroczna zł. 2,50. Cena egzemplarza pojedyńczego 50 groszy. OGŁOSZENIA: cała strona zł. 200.—, ½ str. zł. 110.—, ¼ str. zł. 60.—, ⅛ str. zł. 35.—, 1/16 str. zł. 20,—. ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Poznań, ul. Ratajczaka 9, Konto PKO. nr. 203 851.

Redaktor odpow. i wydawca: Janusz Makowski, Poznań, ul. Matejki 58. — Czcionkami Drukarni Mieszczańskiej S. A. w Poznaniu, ul. Murna 2.